Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 17. Października 1880 r. Tom XI.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 42.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Listy Juniusa.

I.

Żyjemy w chwili wielkiego w pojęciach narodowych przełomu. Dawne ideały zmierzchły oczom naszym, dawni sprzymierzeńcy odbiegli nas, i my sami zeszliśmy z torów, po których kroczyli nasi ojcowie. Niesiemy wprawdzie górą zawsze jeszcze sztandar naszego ideału: wyswobodzenia naszej ojczyzny; — ale ideał ten nie jest już matematycznie ten sam co dawniej, a przynajmniej innemi są zupełnie drogi, któremi do jego urzeczywistnienia dążymy.

Gwałt w chwili pierwszych brzasków naszego duchowego odrodzenia na nas popełniony, zmusił nas był niegdyś do szukania sojuszników między przedstawicielami dążeń naszym dążeniom pokrewnych. Stanąwszy w szeregu bojowników światowej demokracji, przelewaliśmy w imię wolności razem z nimi krew naszą na obydwu półkulach. Obok Waszyngtona zapisanem zostało w panteonie ludzkości imię Kościuszki i Pułaskiego, obok Koszuta nazwisko Bema i Dembińskiego, i sprawa Polski stała się identyczną ze sprawą wolnościowych dążeń ludzkości. Świat cały nie pojmował jej inaczej, jak tylko jako sprawę postępu, wolności i sprawiedliwości, i my sami nie pojmowaliśmy jej inaczej.

Stosunek ten zmienił się w ostatnich czasach, i niemal przed naszemi oczyma. Demokracja europejska dokonawszy po części zwycięstwa swej idei, odbiegła nas, owszem zwróciła się przeciwko nam. Z drugiej strony zmusza nas instynkt samozachowawczy do oporu przeciw niektórym niwelacyjnym dążeniom wieku, narzuca nam hasło *non possumns,* i wpędza nas w obóz przeciwny obozowi wczorajszych naszych sprzymierzeńców. Odmiennie od niedawnych pokoleń, nie wiąże już dziś ogół nasz nadziei swych do zwycięstwa światowych dążeń w formie, w której się one teraz objawiają; politycy nasi, myśliciele, ba nawet poeci, nie zapalają się już dla prądów ożywiających ludzkość całą, lecz opierają swe wnioski na międzypaństwowych i międzydynastycznych zatargach. Tak tedy odbiegliśmy od zakonu dawniejszych pokoleń, i nie ulega wątpieniu, że w naszym sposobie myślenia, że w naszym sądzie o tem co prawe, a co niegodziwe, że w naszej moralnej wartości, że w naszej wewnętrznej istocie zaszła pewna zmiana, i że idea nasza nie jest tem samem, czem była przed laty...

Gdy więc nam już nie służy dawny ojców kompas moralny, zachodzi tedy pytanie, jakiemi się dziś rządzim prawidłami, i gdzie szukamy kryterjum naszych czynności w życiu publicznem? innemi słowy: gdzie jest owa miara, wedle której oceniamy co dobro, a co zło? co cnota a co zbrodnia? Odpowiedź na to pytanie nie jest rzeczą podrzędnej wagi, stanowi ona bowiem o naszej moralnej wartości, i o uprawnieniu naszej idei w koncercie światowego postępu. Powołanie się na ideał nasz, i na ogólnikowe rzymskie prawidło: *Salus respublicae summa lex esto,* dobro rzeczypospolitej ma być najwyższem prawem, nie jest wcale odpowiedzią; prawidło to bowiem otwiera na oścież wrota wszelkiemu warcholstwu i samowoli. Koniecznem następstwem tak zdogmatyzowanego moralnego katechizmu, byłoby prędzej czy później rozluźnienie obyczaju, tudzież idące za niem nieodzowne rozbicie narodu jako społecznego organizmu. Tak tedy wskazuje nam już instynkt samozachowawczy, potrzebę wykluczenia wszelkiej dowolności w pojmowaniu i tłómaczeniu obywatelskich obowiązków. Musimy sumieniu publicznemu postawić niewzruszone prawidła moralne, aby się wedle nich rządziło, — musimy mu dać miarę tego co dobre a co złe, co prawe a co niegodziwe, co dozwolone a co wzbronionem być musi.

Mianowicie dla mieszkańców tej części naszego kraju, która obecnie większej używa swobody, jest postawienie takiego moralnego kodeksu konieczną potrzebą. Nowe stosunki stworzyły nam nowe obowiązki. Im więcej wolność ludzi wyzwala, tem potrzebniejszym się dla nich staje hamulec zdrowych moralnych pojęć. Inaczej — jak powiada Fichte — wyjdą oni z więzień tyrana na to tylko, by się nawzajem mordować szczątkami swych kajdan. W społeczeństwie niemoralnem nie może wolność istnieć ani chwili; panować w niem jeno będzie swawola, ta śmiertelna gangrena narodów. Utrzymują wprawdzie niektórzy socjologowie, iż ustrój społeczny da się trwale zbudować na podstawie dobrze zrozumianego osobistego interesu. Aliści interes osobisty, to samolubstwo, a samolubstwo jest z swej natury już podłem i ślepem. Zaiste, nie na takiej to podwalinie można zbudować rzecz wielką i trwałą. Ileżby warta była i gdzieby zaszła ludzkość, gdyby się pozbyła bezinteresowności, poświęcenia, ofiarności, bohaterstwa, jednem słowem cnoty? Słusznie opłakujemy szerzącą się zgniliznę dusz i upadek charakterów; nie zatykajmyż tych źródeł żywych, które jedynie mogą je uzdrowić, podnieść i odmłodzić.)

Lecz gdzie szukać owej miary, którąby nam w każdej chwili wskazała, co dobre a co złe — onego kompasu, któryby nam powiedział, gdzie leży powinność? Odpowiedź na to łatwa: miary tej, kompasu tego należy szukać w sumieniu. Atoli głos sumienia może być w tej mierze poczytywanym za wyrocznię tylko o tyle, o ile dokładną jest nasza świadomość tego, co jest dobrem, albo złem. Dość jednakże przypomnieć sobie to, co się u nas myśli, mówi, pisze i czyni, aby zrozumieć, jak niedokładną jest w tej mierze świadomość nasza, jak dalece zawichrzonemi są nasze pojęcia. Przyczyną temu jest brak filozoficznego wykształcenia, jakiemu ulega nietylko ogół nasz, ale i ci, którzy stoją na świeczniku narodu w tej chwili. Kryterjum tego, co jest dobrem a co jest złem, czerpie społeczeństwo nasze wyłącznie — w kodeksie karnym i w katechizmie. Tymczasem ani jeden, ani drugi nie może być uważanym za wskazówkę

dla nas wystarczającą; kodeks karny bowiem uczy nas tylko tego, czegośmy zaniechać winni, podczas gdy katechizm, wznosząc swój systemat etyczny na podwalinie objawionej woli Bożej i nadziei zagrobowej nagrody, opiera takowy na wierze, ale nie na pewności, i nie daje nam zresztą żadnych wskazówek co do wyjątkowych powinności, które na nas ciężą.

Chcąc tedy w tej mierze dojść do jakiegoś celu, i oprzeć prawidła moralne na pewnej, umiejętnej, niewzruszonej podstawie, musimy je uczynić zupełnie *niezależnemi* od wszelkiego dogmatu, od wszelkiej zaprzeczanej lub zaprzeczalnej metafizycznej hipotezy; musimy pojęciom moralnym przywrócić samorząd najzupełniejszy, szukając podstaw ich u źródeł naszego sumienia, t. j. wyprowadzając je wprost z ludzkiej natury. Takie to zadanie postawiliśmy sobie, zamierzając w szeregu listów rozwinąć w sposób przystępny zasady i prawidła tak zwanej „niezależnej moralności".

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

XVI.

Rekonwalescenci.

— Oto, myślał ja i myślał — tak zaczął Sawa, gdy pan Maciej rankiem do pasieki przyszedł — a myślałem nad tem, dlaczego to wy, jegomość, nie skorzystaliście pięć lat temu z niemocy mojej i nie oddaliście mnie pod miecz kata...

— No, dlaczego?... — zapytał stary szlachcic

— Dlatego, żeby jassyr Tatarom odbić...

Pan Maciej się uśmiechnął, ale nic nie odpowiedział. Uśmiechu tego nie umiemy wytłumaczyć sobie. Być może, oznaczał on rodzaj pewien politowania, wywołanego nietrafnością racji, przez Szpaka podanej. Jeżeli tak, to się jegomość grubo mylił. Racja Szpaka nietylko była trafną, ale i głęboką, tylko on jej teoretycznie rozwinąć nie umiał. Odnosi się ona do teorji prawa kryminalnego, do kary śmierci, przynoszącej ogólnie zamiast pożytku szkodę, a nie rzadko pozbawiającej społeczności usługi dodatniej. Ileż to razy sprawiedliwość karząca, zabijając zbrodniarza, zabija bądź czyn, bądź też wynalazek pożyteczny! Nie mówimy o omyłkach, ani o zbrodniach warunkowych, zmieniających się w cnoty wedle czasu i miejsca. Mówimy o zbrodniach rzeczywistych, biorąc przykład z Sawy. Nie wiemy, ile on ludzi życia pozbawił, ile cerkwi zrabował, ile świętości podeptał. Gdyby jednak zbrodniarza tego pięć lat temu jegomość oddał był na stracenie, to nie powróciłby szkód, jakie on sprawił, ale też nie nastąpiłaby korzyść, jaką on przyniósł. Nieobecność jego do szkód bezpowrotnych dodałaby nowe. Obecność pożyteczną się stała. Wynikło to ztąd, że go jegomość umiał zużyć stosownie, że zbrodniarza się nie zląkł, ani też odwrócił się od niego ze wstrętem. Był to ze strony starego szlachcica dowód odwagi wielkiej, na którąby się zdobył nie każdy. Nie wiemy jednak, czy pan Maciej rozumiał doniosłość czynu własnego, i czy uśmiech jego oznaczał rozumienie, albo też co innego. Uśmiechnął się, ramionami lekko ruszył i zapytał:

— A więcej, nie wymyśliłeś nic?...

— W głowie mi utkwiła ta córka Łączyńskiego...

— No?..

— Wydało mi się, że mi ją dola umyślnie zsyła, ażebym przez nią ojca dosięgnął...

— Biednyż ty!.. — pokiwał jegomość głową.

— Cóż!.. jak się raz uczucie zemsty serca czepi, to go oderwać nie sposób...

— Zdaje się tobie, że obowiązkiem twoim jest być koniecznie od Łączyńskiego gorszym...

Starzec wpatrzył się w jegomości. Słowa te zafrapowały go.

— Gdyby takim miał być obowiązek twój, to takim samym musiałby być obowiązek człowieka każdego... Każdy jeden od drugiego silowałby być gorszym... no, i... wymordowalibyśmy się co do nogi... Pomyśl jeno...

— Myślę...

— No, i cóż?...

— A cóż!... co rąbniecie, to odrąbnąć wam ani sposób... Cóż córka jego?.. jak się ona na futor dostała?...

Jegomość opowiedział w krótkości o losach pani Krystyny. Gdy wymienił nazwisko jej po mężu, starzec podchwycił:

— Łoboda!... Czy nie z tych, co to jeden straconym został?...

— Może!... nie wiem... Ten od Starokonstantynowa...

— To z tych... Już wiem... Ten tamtemu stryjecznym wypada... a i matki mojej siostra rodzona za Łobodą była... o... Ale, co tam!... Jakże mu na imię, temu Łobodzie?... — zapytał w końcu.

— Prokop...

— Prokop... u... hm... Prokop... — mruczał starzec i odezwał się głośno, westchnąwszy: — My tu się *zabalakali*, a tam z pasieką robić coś trzeba... Nie daj Boże mrozu! Mucha nie ma kożucha na zimę...

Wnet potem pan Maciej i Sawa nosili ule do temnika, składali je porządnie, bacząc na to, ażeby zaduchu nie było. Dla znacznej ulów liczby, robota przeciągnęła się do południa. Wreszcie skończyła się. Jegomość udał się na futor; Sawa na kłodzie usiadł i w zadumę się pogrążył.

Wątpliwości nie ulega, że Szpak, wzięty w chwili siedzenia tego na kłodzie, nie był to już ów Szpak dawniejszy, który zemstą kipiał. Wiek, obok tego zaś pięcioletnie zajęcie umysłu pasiecznictwem, zatrudnieniem z natury swojej spokojnem, ostudziły w nim znacznie namiętności. Zresztą, nie zdaje się, ażeby był to zbrodniarz z powołania, z zamiłowania, z natury, rodzaj tygrysa w ludzkiej postaci. W duszę zaroniła mu się podnieta, która działając ustawicznie, ustawicznie go popychała, a to tem bardziej, że był to człowiek ciemny a odważny. Dla ciemnego a lękliwego hamulec jest w strachu, występującym, już to pod postacią ramienia sprawiedliwości ludzkiej, już pod postacią kary bożej. Na odważnego hamulca nie ma, w poznaniu chyba, w zastanowieniu się, w rozmyśle, w jawnem pojmowaniu praw i obowiązków, tkwiących w stosunku człowieka pojedyńczego do ogółu. To ostatnie nie przychodzi z natchnienia. Pojmowanie jest owocem, wymagającym uprawy odpowiedniej i warunków stosownych, bez których przeradza się niekiedy w potworność. Naprzykład: pojmowanie wojewodziny. Niestety! ciężkie to były dla Polski czasy, ciężkie nie tyle z powodu biedy materjalnej, ile z powodu obłędu moralnego, w jaki wprawiło ogół wadliwe w najwyższym stopniu wychowanie, którego skutki smutne ukazywały się zarówno na górze i na dole, na wielkich i na maluczkich, w głównych życia narodowego ogniskach i w najdalszych onego kończynach. Pomiędzy wyżynami a nizinami społeczeństwa zachodzi związek ścisły a konieczny, związek taki, jak pomiędzy racją a następstwem.

Sawa nie myślał zapewne o tem, cośmy napisali powyżej. Myślał jednak o czemś. Siedział na kłodzie z głową pochyloną; pan Maciej zaś do domu przyszedł i poobiadowawszy, udał się na pole, w celu rozpoznania stanu namokłości gruntu.

Na futorze szło wszystko trybem zwyczajnym.

Z chorymi działo się tak, jak już o tem mówiliśmy powyżej. Młoda kobieta do zdrowia przychodziła; Jurkowi przesilenie zagrażało. Z tej przyczyny w świetlicy znajdowała się w chwili każdej jedna z jejmości, najczęściej jednak matka, która też na noc przy synu pozostawała, ścieląc sobie pod ścianą. Pani Maciejowa czuwała nad synem, ażeby mu nie zabrakło bądź napoju, bądź posługi. W dzień wyręczała ją staruszka. W nocy wyręczać się nie dała nikomu, pomimo że spracowana, sama spoczynku potrzebowała. Matki zazdrosne bywają. Dwie doby z rzędu, dzień przepracowała, nocy nie przespała, na trzecią noc zasnęła, lecz budziła się na każde Jurka zawołanie. Czwartą noc przespała całkowicie i rankiem dopiero zerwała się, do syna poszła i uśpionym go znalazła.

— Spał lubczyk mój... — rzekła do siebie.

Zbliżyła się następnie do drzwi alkierza, zajrzała — i pani Krystyna uśpioną była.

— Chwała Bogu, spała i ona...

Pani Maciejowa myliła się, tak co do syna, jak co do gościa.

Jurek obudził się był raz i drugi i trzeci i za każdym razem miał i napój sobie podany i okrycie na sobie poprawione. Uskuteczniała to pani Krystyna. Pani Maciejowa ani się tego domyślała. Na pier-

wsze chorego chrząknięcie, postać w bieli wysuwała się z alkierza i posługi czyniła; gdy zaś Jurek, zjawiskiem tem zdziwiony, usta otwierał, w celu zadania zapytania, postać rękę wyciągała, pochylała się nad nim i w ucho mu następujące wsuwała wyrazy:

— Matka spracowana, śpi... niech śpi...

Powtarzało się to nocy każdej, po przejściu nawet przesilenia choroby.

Jurkowi ponocne te zjawiska wydawały się przychodzeniem do wezgłowia jego anioła stróża.

Pani Maciejowa dziwiła się, że syn tak sypia smacznie.

Po przesileniu zdrowie młodemu człowiekowi powracać poczęło szybko, tak szybko, iż rychło dopędził i wyścignął sąsiadkę swoją z alkierza. Po pierwszej nocy, którą przespał w rzeczy samej, gdy matka go rano odwiedziła, zawołał:

— Ba! ja zdrów już!...

— Cicho bądź!... — pani Maciejowa do niego.

— Alboż co?... — zapytał półgłosem.

— W alkierzu chora... pani...

— A?... — odezwał się, opamiętywując się niejako. Ta chora, com to ja ją z pola przydźwigał?

— Ta sama...

— I cóż?...

— Bogu dzięki, do zdrowia przychodzi, ale jeszcze osłabiona bardzo...

— Ano, to dobrze... Ale ja wstanę już...

— Poleż choć przez dziś jeszcze... — prosiła matka.

— Kiedym już zdrów!... Wstanę po cichu, ubiorę się i wyjdę...

Na upór lekarstwa nie masz. Wiedziała snać pani Maciejowa o tem; tyle więc tylko u syna wyjednała, że zgodził się nie wkładać na siebie odzieży, któraby tarcie ranom sprawiała. Ubrał się przeto stosownie do wskazówek matczynych, z izby przez matkę podtrzymywany wyszedł i na przyźbie przed domem usiadł.

Po przymrozku nocnym słońce zeszło jasno i poranek był jednym z tych pięknych poranków jesiennych, które na Pobereżu pospolitemi są. Niebo bez chmórki bladolazurowem rozrzucało się sklepieniem. W powietrzu migotały blade iskierki niby. Drzewa po większej części stały już bez liści, wydając z pośród siebie przebijającą się tu i owdzie barwę ciemnoamarantową i jasno-cytrynową. Koguty odzywały się pianiem, psy naszczekiwaniem; atmosfera zaś dyszała świeżością ożywczą. Jurek, jak tylko na progu stanął, natychmiast powietrza pełno w piersi naciągnął i odetchnął z rozkoszą.

Do siedzącego na przyźbie przyszły dzieci pani Janowej. Pomiędzy nim a niemi zawiązała się wnet rozmowa, do której treść podała przyczyna choroby Jurka. Chłopak gniewał się na Tatarów, co wujaszka pokłuli i odgrażał się na nich. Dziewczynka rozpytywała o ból i dowiedzieć się chciała, jak też prędko wujaszek wyzdrowieje. Następnie chłopak chwalił się tatkiem, co Turków bije, dziewczynka zaś powiadała, że tatko przyjedzie niebawem i gościniec przywiezie. Jurek pędził czas na rozmowie z siostrzeńcem i z siostrzenicą i używał na powietrzu świeżem.

Wkrótce po opuszczeniu przez niego łóżka pani Maciejowa zajrzała do alkierza, chora nie spała już.

— Dzień dobry pani... — odezwała się do jejmości.

— Jakże tam?... — zapytała ta ostatnia.

— Lepiej, co raz to lepiej...

— Chwała Bogu!... Obyć złe nie wróciło już nigdy!..

— Mam ja — zaczęła kobieta nieśmiało — prośbę jedną do pani kochanej...

— Cóż przecie, serce?

— Z prośbą tą zbieram się już od dni paru... Chciałam z łóżka wstać...

— Czy nie zawcześnie?... — zauważyła jejmość.

— O nie... Zdrową się czuję...

— Aleś mocno osłabiona jeszcze.

— Widzę przez okienko słońce... Dzień musi być piękny...

— Pogodny, Bogu dzięki...

— O! takbym pragnęła wyjrzeć na świat boży... Dla tego chcę wstać, ale...

Tu zacięła się patrząc pani Maciejowej w oczy.

— Jeżeli wstać chcesz, to...

— Tak... — przerwała młoda kobieta i zapytała: Gdzież odzież moja?...

— Odzieży swojej nie możesz włożyć na siebie, tak podarta i poszarpana... Ale się nie troszcz o to... Bogu dzięki, znajdzie się u nas okrycie dla ciebie...

To rzekłszy, zawinęła się jejmość, wydobyła ze skrzyni świeżą bieliznę i ciepłe odzienie, pomagała chorej ubrać się i umyć, zaczesała jej warkocze, na głowę chustkę włożyła i tak przebraną wyprowadziła na podwórko. Przechodząc przez świetlicę, pani Łobodzina zatrzymała się. Uderzyło ją łóżko próżne.

— A syn pani?... — zapytała.

— Tak samo, jak ty, leżeć nie chciał...

Młoda kobieta na progu tego samego co Jurek doznała wrażenia. Swieże powietrze rozkosz jej sprawiło. Odetchnęła piersią pełną i zwróciła się do przyźby.

Widok jej zafrasował Jurka. Podczas gdy pani Maciejowa do niego mówiła:

— Otóż masz, i towarzyszka twoja z łóżka uciekła...

On szeroko otwartemi oczami patrzał na bladą, ale piękną towarzyszki swej twarz i po chwili bąkać począł:

— To pani?... pani?... A ja... A mnie... wydawało się...

— Co się wydawało tobie?... — zapytała pani Maciejowa.

— Co za dzień piękny!... — przerwała chora. Wszak to już jesień?...

— Jesień, serce... — odpowiedziała jejmość.

— Drzewa bez liści... — ciągnęła pani Łobodzina, zagadując Jurka widocznie. Słońce nie piecze, grzeje jednak... O! jakże tu dobrze...

Przy słowie ostatniem usiadła nieopodal od młodego człowieka.

— Mnie się wydawało... — zaczął ten ostatni, patrząc na nią.

Lecz ona znów przerwała:

— Jakże tu pięknie na wiosnę i latem być musi!... Las dokoła... Wyobrażam sobie, co tu zbiera się słowików w maju...

— Zbiera się tego dużo... — odrzekła jejmość.

— Czy ztąd do Lwowa daleko?...

—Oh, oh!... — odparł Jurek. — Gdzie Lwów!... Jadąc dobrze, najmniej dni dziesięć jechać potrzeba...

— Dni dziesięć... — powtórzyła młoda kobieta.

— I to jadąc dobrze... — z naciskiem dodał Jurek.

Pani Maciejowa tymczasem usunęła się, spiesząc do swojej roboty.

Pani Krystynie udało się Jurka zagadać; starała się jednak i po odejściu jejmości podtrzymać rozmowę w kierunku tym samym. Zapytała przeto:

— Którędyż to, proszę pana jedzie się?...

— Ludzie jeździli dawniej na Jampól, Mohylów, Kamieniec; od czasu jednak jak Kamieniec Turkom wpadł w ręce, jeżdżą na Bracław, Winnicę, Latyczów, Płoskirów, Tarnopol.

Kobieta westchnęła przy wyrazie ostatnim.

— Tędy — ciągnął Jurek — dalej trochę, ale za to droga lepsza, równiejsza... Na Kamieniec góry... niech pan Bóg broni!...

Materja się wyczerpnęła. Młoda kobieta wnet wynalazła inną; dostarczyły jej dzieci.

— Sliczne dziatki... — rzekła — czyje?...

— Siostry mojej, Elżbiety, co za Okiniczem... Oto — tu na chłopca wskazał— siostrzeniec mój Michaś, a oto siostrzenica moja Justysia...

— Po ile mają lat?...

— Justysia trzeci skończyła, Michaś piąty zaczął.

— Mam pięć lat... — odezwał się chłopak.

— Słusznyś kawaler... — przemówiła do niego pani Krystyna. Cóż porabiasz, panie Michale?...

— Bąki zbijam...

Na odpowiedź tę roześmiał się Jurek; pani Krystyna uśmiechnęła się i odrzekła:

— Zatrudnienie piękne, wiekowi odpowiednie; później jednak, gdy wyrośniesz na człowieka słusznego, zatrudnisz się czem innem zapewne?...

— Będę ziemię orał, jak dziadunio, i bił Tatarów i Turków, jak tatko i wujaszek...

Tu dziewczynka do rozmowy się wmięszała, że jednak mówiła niewyraźnie, więc pani Łobodzina całą na jej szczebiotanie uwagę zwracać musiała.

Młodzi chorzy przesiedzieli na słońcu do południa. O południu ściągać się poczęli domownicy na obiad, przechodząc mimo nich kolejno i pozdrawiając w imię boże. Z kolei przyszedł jegomość, zatrzymał się i spoglądając na syna i na starościankę, przemówił:

*

— Państwo razem na słonko się wynurzyli... Dobre to, ale w miarę...

W słowach ostatnich wielka zawierała się racja. Na ludzi co przez czas dłuższy w zamknięciu pozostawali, świeże powietrze działa upajająco. Oboje oni uczuwać już zaczynali znużenie. Pani Krystyna pierwsza wstała i do łóżka powróciła, niebawem też za przykładem jej poszedł i Jurek.

Od dnia tego jednak codziennie wstawali i codziennie jedno obok drugiego na pryźbie zasiadało. Starościanka prosiła o robotę jakąś. Dano jej pończochę. Zasiadała i robiła, spoglądając niekiedy to na niebo, to na lasy, to na towarzysza swego, człowieka młodego, nieszpetnego i roztropności wyrazem nacechowanego. On też z zadowoleniem niemałem powodził wzrokiem po nadobnem licu i po udatnej postaci dotrzymującej mu towarzystwa niewiasty młodej. Rozmowy ich rozpoczynały się zazwyczaj od pytań o zdrowie, o którem do mówienia wiele nie było, albowiem powracało widocznie. Jurek miał zawsze coś jakby do powiedzenia, zawsze jednak pani Krystyna przerwać mu i rozmowę na co innego zwrócić umiała.

Do czasu atoli dzban wodę nosi. Jurek raz przerwać sobie nie dał.

— Toć to nie sposób, ażebym ja i za siebie i za matkę nie podziękował pani...

— Ciekawam bardzo, jak jeszcze długo pogoda potrwa?... — wtrąciła młoda niewiasta.

— Niech ona trwa sobie lub nie trwa, a ja pani z serca całego dziękuję za czuwanie nademną w chorobie...

— Waszność mi dziękować nie masz za co... — odrzekła oczy na niego podnosząc.

— Jakto bym nie miał?... Pani sama chora...

— Nie mówmy lepiej o tem, gdy ja bowiem roztoczę powody wdzięczności mojej dla waszmościnego ojca, dla waszmościnej matki, dla jego babki i siostry, to po stronie mojej pokaże się dług ogromny, którego spłacić nie zdołam ani wyrazami, ani czynami...

— Cóż osobliwego!... Byłaś pani chorą, pielęgnowano panią...

— Ach! znam ja... chorych pielęgnowanie jałmużniane... Znam ja bardzo dobrze to... Za takie pielęgnowanie wdzięczność jest łatwą... Tu względem mnie postąpiono inaczej... jak mianowicie? tego ja wytłumaczyć nie umiem, tylko zdaje mi się, że każda lekarstwa kropelka, jaką pod tą strzechą przyjęłam, każdy uśmiech, jaki widziałam, każde słówko, jakie usłyszałam, zaprawnem było serdecznością, zwróconą na mnie całkowicie, nie mającą żadnej racji pobocznej i nie odnoszącą się do żadnej intencji samolubnej... Tu dopiero, pod tą strzechą, gdzie się modlą tak krótko a pracują tak dużo, gdzie się nikt nie biczuje, ani pasków drucianych nie nosi... tu dopiero poznałam rzeczywistą miłość bliźniego...

Mówiła powoli; w ciągu mówienia policzki jej zafarbowały się rumieńcem lekkim — była prześliczną. To też Jurek patrzał na nią z zachwytem prawie, i gdy mówić przestała, odpowiedzieć coś chciał, lecz słów stosownych nie znalazł. Dziwno mu jeno było, że to, co on za rzecz zwyczajną uważał, ona tak wysoko podnosiła. W tem przeto odpowiedzi szukał i na taką się zdobył:

— Cóż to!... To nic... To się zrobiło samo... Gdyby się tak jeno mogło robić wszystko!...

— Ach!... — westchnęła kobieta. Gdybym się z Prokopem połączyć mogła...

Spuściła oczy i przebierała drutami. Po policzkach płynęły jej łzy.

— Trzeba się spodziewać... — wtrącił młody człowiek, w sensie pocieszenia.

— I starać się... — dodała; po chwilce zaś dodała jeszcze: — Bylem jeno siły odzyskała, pójdę...

— Dokąd? — zapytał Jurek z lekkiem w głosie zdziwieniem.

— Do niego...

— Jakto?... On w Krymie być musi...

— Pójdę do Krymu... Chodzi mi jeno o to, ażeby się z nim złączyć, chociażby w niewoli... Tam być muszą miasta i wsie... Będę chodziła od miasta do miasta, od wsi do wsi i pytała...

— Oo... — mruknął Jurek, głową kręcąc.

— Dopytam się, chociażby po roku, po dwóch, po trzech...

— Ej, nie!... — odrzekł Jurek. Najprzód, Tatarzy sprzedają jeńców do Turcji i do Persji, to byś go mogła pani w Krymie już nie zastać; powtóre, gdybyś się jeno w pierwszej tatarskiej pokazała osadzie, natychmiast by cię samą w niewolnicę zmieniono...

— Cóż ja pocznę, nieszczęśliwa!... — zawołała, załamując dłonie i wznosząc oczy do nieba.

— Starać się należy inaczej...

— Jakże?...

— Są sposoby... okup... zamiana jeńców...

Kobieta westchnęła, zamilkła, czas jakiś szybko drutami przerabiała, wreszcie się odezwała:

— Trzebaby gdzieś zakołatać... do kogoś zię zgłosić...

— Do kogo mianowicie... nie wiem, zdaje mi się jednak, że instancją w tej mierze zanosić należy do króla, albo do hetmana, albo do wojewody bracławskiego... Ale, niechno ja o tem z tatkiem pomówię...

Pani Krystyna nie odpowiedziała na to nic.

Jurek się zamyślił.

Milczenie na przyźbie trwało do przyjścia pana Macieja, który jak się tylko pojawił i rekonwalescentów pozdrowił, natychmiast go syn o sposób wydobycia Prokopa z niewoli tatarskiej zaczepił.

— Hm... — zamyślił się stary — trudno to, trudno, ale tentować i można i należy... Zdarzają się przecież tacy, co z tatarskiego wracają jassyru... Najłatwiejszym na wydobycie ztamtąd ludzi środkiem jest okup... tylko trudno tam odszukać kogo... W tem też rzecz cała... Tego zrobić inaczej nie można, jak przez króla, do króla zaś trafić potrzeba przez kogoś... Przez kogoby, na przykład? — zapytał, patrząc na panią Łobodzinę.

— Przez ojca mego tylko... — odrzekła skwapliwie. Przez ojca mego!...

— Najlepiej i najprościej... — wtrącił jegomość z przyciskiem.

— Rzucę mu się do nóg, będę prosiła, błagała... będę się do niego modliła!...

— Tylko przedewszystkiem, bez irytacji, w spokoju wyzdrowienia zupełnego doczekać się potrzeba... — odezwał się pan Maciej, widząc rekonwalescentkę głęboko poruszoną. Najprzód, niech się mość wasza doczeka zdrowia dobrego, a potem przy pomocy bożej zrobi się wszystko... Teraz nie ma co poczynać... Wasza mość nie mogłabyś trzech mil bez zapadnięcia w chorobę ujechać...

Taką radę dał szlachcic stary, a że była ona zdrową, racjonalną i jedyną, więc młoda niewiasta przyjęła ją i usiłowała stosować się do niej.

Posiedzenia na przyźbie we dwójkę przerwały się niebawem, następnie zaś całkowicie ustały. Przerwanie sprawił śnieg, który nocy pewnej ziemię ubielił; ustanie sprowadziła zima, która po pierwszym śniegu wkrótce zawitała. Przycisnęły mrozy. Na futorze rozpoczęło się życie w zamknięciu; praca naturę zmieniła; kobiety przędły, szyły, tkały; mężczyźni bydła doglądali, strugali, ciosali, drwa rąbali, powrozy kręcili etc. Do zajęć kobiecych wprosiła się i pani Krystyna i udział w nich brała gorliwie. Do zajęć męzkich ręki dokładał Jurek, któremu do uzdrowienia zupełnego brakło jeno zabliźnienia się dokładnego rany jednej. Pani Łobodziny zdrowie znajdowało się także w stanie pożądanym. Smutną była, bo jakże smutną być nie miała! Mimo to jednak powracała do stanu normalnego, nabierała ciała, cera jej czerstwiała i w ubraniu szlachcianeczki wiejskiej wyglądała nie gorzej, niż w strojach, w których występowała na pokojach wielkiej pani.

Jegomość wybierał się na jarmark do Czeczelnika w podwójnym celu: w celu wynalezienia kupca na miód i wosk, i w celu zaciągnięcia języka względem tego, co się w kraju dzieje. Na futor dochodziły jeno same mętne i niepewne wieści. Co do miodu, potrzebował się z pasiecznikiem naradzić: poszedł więc do pasieki, brnąc przez śnieg, wszedł do chaty — w chacie ani pasiecznika! ani śladu, żeby był! Popioły w piecu zimne, w izbie pustka, zapasy zimowe nietknięte, koło chałupy śnieg nie zdeptany, jak upadł dnia pierwszego, tak i pozostał. Jegomość głową pokręcił i rzekł:

— Czy nie pociągnęła natura wilka do lasu?...

Powrócił na futor i gdy wracał, zoczył wynurzających się z lasu dwóch jeźdźców. Brnęli przez śnieg, przykryci opończami. Zoczywszy ich, zdaleka jegomość wołać począł:

— Słychom słychaty! wydom wydaty!... Czemuż to tak późno Pan Bóg sprowadza?...

— I to, chwała Bogu, żem się wy-

rwał... — odpowiedział jeździec przodem jadący.

— Nie wojujecie przez zimę przecie!...

— Nie... ale król w Bracławiu zimuje i wojsk nie rozpuszcza... Ledwo nie ledwo wyprosić się zdołałem do żonki i dzieci... Dostałem pozwolenie, ale, co korowodów było... a!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

STUDJA ESTETYCZNE

przez

Wojciecha Dzieduszyckiego.

SZTUKA NADREŃSKA.

I.

Dotąd bawiliśmy na południu, pod błękitnem niebem, wśród gorących wrażliwych ludzi. Ale i na północy żyła sztuka, mimo mgły i śnieżnicy, a obrała sobie tu za główną siedzibę, legendą strojne brzegi Oceanu. A jednak krew flegmatyczna germańska i mgła północna musiały nadać sztuce kształt inny, i inne znaczenie, a dla nas będzie rzeczą ciekawą zobaczyć jaki wpływ na sztukę wywiera przestrzeń, poznawszy wpierw już w Rzymie wpływ czasu w długim wieków pochodzie.

Sztuka tu, nad Renem, późniejszym gościem jak na południu, i przybyła z południa wtedy, kiedy i winograd w te strony zawędrował za panowania ostatnich pogańskich imperatorów Romy. I z razu w Trewirze przebywała tu jakby turysta co nie szuka indygienatu w odwiedzanym kraju, i nie chce się zastósować do powietrza i do ludzi. Jakby w Italji rzeźbiono i budowano, tylko rzeźbiono i budowano gorzej. I potem przez długie wieki nie wyzwoliła się sztuka z opaski i chodziła za Bizańtyńską piastunką następczynią Rzymskiej rodzicy, ostrożnie i niesamoistnie. Cesarze Karolińscy zachodu, podobnie jak cesarze Wschodu budowali kopulaste cerkwie, i takież cerkwie wznosiły się w Słowiańszczyznie. Ale północne cerkwie były uboższemi i mniejszemi od południowych.

Kto w Kolonji bawi i tamtejszą katedrę ogląda, temu warto wstąpić do świętej Marji w Kapitolu, do starej prabazylikowej świątyni, z której wyglądają czasy Karolińskie. Na zewnątrz kościół nieciekawy, na wewnątrz modli się pokornie. Sztuka ta nieśmiała wie, że mało umie i że mało może, ale widać po niej, że chce Boga chwalić co jej sił stanie, i rozczula tem jakoś, aż do łez.

Niewielka kopuła stanęła bojaźliwie nad wywyższonym chórem, a trzy górne ramiona krzyża zakończone okrągło i nakryte sklepieniem dają skromną perspektywę na wzór zuchwałych perspektyw świętej Zofii. Zamiast mozaik nieruchomych a groźnych, widać naiwne malowidła przedstawiające sceny z pisma świętego. Figury różne święte ruszają się dziwnie niezgrabnie po sklepieniach i ścianach, na tle żółtem i zielonem. Niby dziecko rysowało wszystkie te figury nieumiejętną ręką.

Kuce na brunatno pomalowane bizantyńskie kolumny przytuliły się do ścian, jak gdyby im zimno było gdy staną samopas. Ugrupowały się rytmicznie podług reguł bizantyńskich, ale straciły swoje dawne przeznaczenie. Tylko tradycja kazała im tu stanąć, a mury tylko i pilastry dźwigające łuki i bramy tryumfalne stanowią o rytmie form i perspektywie. Z światłem ani myślał igrać budowniczy. Trzeba mu było poprostu dnia na północy i dnia dość wchodzi przez bizantyńskie wprawdzie, ale już spore okna. Zielone ściany nie znoszą misternego migotania bizantyńskich ekramów południa.

I wszystko com powiedział tak być musiało jakom powiedział w ubogim kraju Franków i na północy. Kościół na południu był zawsze portykiem. Tu stał się dużym, cichym pokojem na północy, w którym ludzie znajdują schronienie. Nie trzeba było tedy kolumnad, życie miało leżeć w samych tylko ścianach i w samych łukach, a świętość miała spocząć w malowidłach. Kolumny, to obce przybysze, których ślad miał niezadługo w Niemczech zniknąć.

Ale prawa piękna były wszędzie i po wszystkie czasy te same. I syn północy żądał w gmachu bożym życia, choć nie rozumiał kolumny nagiej choć czuł żeby jej było zimno. A obmalowane bohomazami ściany greckiego krzyża, pozbawionego ozdoby kolumnad, były wreszcie martwe. Nastąpiła tedy potrzeba przełamania martwej bizantyńskiej symetrji. Uczyniono tu tedy jeden krok samoistny i zastąpiono krzyż grecki łacińskim. Przedłużono jedno ramię i tem dano kościołowi niejako piętno wyższych organizmów. Tylko najniższe morskie twory można podzielić na cztery podobnych do siebie części, wszystkie wyższe istoty składają się tylko z dwu połów. I odtąd z dwu połów tylko miał się składać kościół na północy, jednolity twór żywy.

W długiem ramieniu krzyża, widać już zaród przyszłego północnego budownictwa. Zwyczajne to i niepiękne trzy sklepione nawy, obmalowane podobnie jak chór, a podzielone rzędami arkad, do których wmurowano bizantyńskie półkolumny. Nawa środkowa jak zawsze wyższa od bocznych, i myśl skupiona w chórze tu się rozbija. A jednak w tych nawach kiełkuje samoistna myśl północy, nakazana naturalną tu obojętnością dla plastyki, a przeto i dla kolumny i nakazana jeszcze z innych powodów, w mroźnej krainie.

Na południu można było zawsze tylko o jedności artystycznej gmachów myśleć i katedry Włoch i Konstantynopola trysły wszystkie z jednej jednolitej myśli architektonicznej. Osobno tedy stanął właściwy dom boży, osobno stanęła chrzcielnica, osobno dzwonnica— a każdy gmach był osobną istotą swobodną, zamkniętą w sobie i odgraniczoną plastycznie na zewnątrz jakby posąg albo kolumna. Ludzie idąc z jednego gmachu do drugiego, przechadzali się swobodnie po słońcu i patrzali na gmachy swobodne jak oni. Na północy zimno było ludziom z gmachu do gmachu chodzić po mrozie albo deszczu i zdawało im się, że gmachom także zimno będzie gdy staną nagie i odosobnione. Złączono je tedy o ile się to czynić dało i kazano im się zrosnąć w jedną całość. Niejeden tedy powstał gmach u św. Marji na Kapitolu. Powstały dwa gmachy. Kościół to chór podwyższony i otoczony krótkiemi ramionami krzyża. Nawa to niby podłużna chrzcielnica, sień osobna i samodzielna. Początek tu dopiero zrobiono, ale stąpając po tej drodze postawiono za dwieście lat w Spirze idealny kościół Feodalizmu, prawdziwą rzeszę gmachów, świętą Zofię Panów Zachodu.

Podobnie jak się na wsi koncentrowało przez długie wieki całe życie narodów zachodu i północy, tak i arcykatedra ich imperatorów wznosi się zupełnie na wsi, wśród ogrodów pełnych krzewów i kwiatów. Na zewnątrz jest to jednolity ogromny gmach dość podobny do katedr toskańskich, i imponujący rozmiarami podobnie jak one. Jestto bowiem jeden z największych kościołów na świecie, a różni się od włoskich braci barwą głównie. Jak one zwraca do widza jednostajne martwe ściany, jak one posiada kopułę w miejscu, gdzie się krzyżują ramiona łacińskiego krzyża, ale nie świeci się mnogim barwnym marmurem, jedno patrzy na cię rudą masą germańskiego granitu. I to ubóstwo materjału spowodowało budowniczego z jedenastego wieku do tego, że użył, choć wielce skronmie, ruchu linji wzdłuż wielkich naw i ramion krzyża. Wszędzie dokoła bieży tuż pod wyniosłym dachem ganeczek romański rudy i ciężki, o ciężkich kolumnach i łuczkach, gość z południa co tu marsowe przybrał oblicze.

Ale jest i w planie gmachu nowość widoczna na zewnątrz. Druga kopuła stanęła nad facjatą naprzeciw kopuły pierwszej, zupełnie do niej podobna, a przy kopule jednej i drugiej wznosi się po parze wieżyczek o wysokich szpiczastych dachach, na których się śnieg i chwili nie ostoi. Przez to wszystko stał się kościół jednostajnym i niejasnym, ale dzięki temu można było pomieścić w jednym gmachu, i kościół i dzwonnicę i chrzcielnicę i zakrystję, a i to nie raziło, że powstało tak niby zwierze o dwu głowach. Poczwarność ta dodaje grozy ogromnemu masywnemu gmachowi.

Patrząc na zewnętrzną stronę gmachu, i na spokojną facjatę, nie domyślisz się rajskich komnat boskiego dworu. Pierwszą z nich, przedsień czerwona pełna barbarzyńskich rzezanin i niesfornych postaci. To niby jakiś las pełen zwierza, wyskok wyobraźni żądnej podziwu a wychowanej wśród mgieł północy. Wśród lasu tego nieprzypomnisz sobie, że nad tobą stoi druga wchodowa kopuła, bo kopuła ta dzwonicą i główny dzwon co w niej uwisł, ukryty przed tobą.

Dopiero za bramą wstępną wiesz, żeś wstąpił do dworu niebieskiego Pana. Tu rozciąga się troista przestrzeń naw, przeznaczona dla wiernych, obraz tutecznego świata i ziemskiego przybytku wiernych. Kolumn tu nie masz, nie masz nic coby przypominało rzeźbę i całe życieześrodkowało się w szeregu potężnych krągłych łuków, spartych o silne filary, a dzielących nawy. Że środkowa nawa najwyższą, więc widać w niej ponad łukami wielki mur złocisty z małemi romańskiemi oknami, a u szczytu każdej nawy wznosi się szerokie sklepienie. U końca perspektywy widać nadzwyczaj świetne wywyższenie chóru, stolicy boskiej, obrazu królewstwa niebieskiego, a nad głową masz wszędzie błękit sklepień obsianych gwiazdami, na wszystkich ścianach promienne malowidła.

Same potężne sklepienia, same wielkie przestrzenie mówią głośno o tem, że to nielada przybytek. Malowidła święte, ściany złociste, gwiazdy nad głową i chór królewski w głębi prawią o potędze Boga, podobnej do potęgi ziemskich mocarzy, ale większej, spokojnej i niezachwianej. Ale coś innego wprowadziło do kościoła rytm i takt i piękno, tak, że czujesz się wśród ka-

miennej muzyki, w duchownym świecie, nieskończenie wyższym od ziemskiego.

Linia plastyczna, idywidualność naga i namacalna sprawiały rozkosz synowi południa, co zwykł był patrzyć na słoneczne piękno i dotykać się ciepła i tchu balsamicznych powiewów. Na północy nie wzrok i dotknięcie bywają dawcami radości. Ciało zwykle kuli się przed zimnem, wzrok patrzy na szarą powłokę mgieł i deszczów, albo na błotne oblicze jesieni, albo na jednostajny całun zimy. Jeden słuch prawie zawsze lube albo pięknie groźne odgłosy niesie. Nie mówię już o pieniu północnego ptactwa, ale mówię o wielkim szumie morza, o szeleście północnych lasów, o głosie zimowego wichru i letniej burzy, i o trzasku polan w ogniu. Słuch tedy królem duszy północnej, jemu dogadza sztuka wszelka. Muzyka przybywa tu we wszystkiem, poezja przystroiła się w brzęk rymów i ogrom niejasnych obrazów, i samo budownictwo, pozbawione życia południa, stroi się taktem i harmonją tonów, a kościół przemieniony w harfę, wielka nawa w wiersz rytmiczny, w którym postępują za sobą jamby i daktyle.

Takt do ciała poezji i muzyki, które ożywiają słowa albo tony. Tu w kościele takt ten tylko ozdobą, al ozdobą co wprowadza do gmachu miarę miłą dla rozumu, i co nadewszystko duszę dziwnie nastraja i wraźliwszą czyni. Każdemu wiadomo, że pewne takty muzyczne do tańca zmuszają prawie. Ruch tonów wywołuje podobne doń drganie nerwów, serca i ciała, a podobnież i widok ruchu w miarę ujętego, jakim jest takt, nerwy porusza i duszę czyni wraźliwą. Tu dwanaście taktów ciągnie po każdej stronie wielkiej nawy. Dwanaście łuków się spina wśród świetnej kościoła pozłoty, a wzdłuż każdego filaru i powyżej łuków aż do sklepienia biegną naprzemian silniejsze i słabsze półkolumny. Pierwsze przerwane we środku mają niby dwie głownice, drugie jedną strzałą sięgają sufitu, jedne i drugie wydają z głownic już u sklepienia gałęzie niby kamienne, co gwieździsty wierzch tumu w trójgraniaste pola ujmują, wtórując taktowi symboliką chrześciańską.

Te arkady i półkolumny wątłe i smukłe nad miarę, śpiewają niby marsz tryumfalny wśród złocistych komnat i unoszą twoją duszę aż do wielkiego ołtarza. Zresztą one tylko zaprowadzają w olbrzymie wnętrze ład jakiś i życie.

Dopiero gdy po schodach wyjdziesz pod kopułę i pod ramiona krzyża, koło wielkiego ołtarza uczujesz, że radośny pochód naw doszedł do celu, do raju przed tron mocarza niebieskiego. Lśniące od złota przestwory roztwierają się przed tobą na krzyż, w cudnych perspektywach, a nad tobą płonie w złocie kopuła wielka o ośmiu połach trójkątnych. Wszystko ogromne, potężne i szczęsne, a wyniesione wysoko po nad świat. Patrzysz w dół na olbrzymie nawy co śpiewnie twoją duszę nastrajają, i czujesz przeto żeś się już wzniósł ponad ziemię. Bawisz w przybytku złocistym wiecznej szczęśliwości, a nad głową jaśnieje ci świat wyższy jeszcze, sfera najwyższych uniesień, kopuła złocista, podobieństwo boże. Muzyka gmachu już upaja twą duszę, a od czasu do czasu dolatują do niej jakby urwane akordy prawdziwej muzyki tonów. bo gmach ten tak postawiony, że echo powtarza godzinami zasłyszany rano głos organów, i że każde wyrzeczone słowo wzrasta i olbrzymieje po sklepieniach i łukach, aż się zamienia w muzykalne mruczenie, ujęte w rytm a podobne do gromów. Upaja cię tedy gmach ów, i przypomina sny dziecinne i niebo, o którem dzieckiem marzyłeś. Jeźliś klasyk, sprzeciwi ci się rozum. Powie: „To architektura pozbawiona życia i indywidualizmu, obrosła jakby jakąś nieorganiczną roślinnością, pusta i zimna, gdyby nie ta pozłota.“ Powie: „Rozmiary tu ogrome, a jednak nie masz ani jednego potężnego łuku, ani jednego możnego filaru, i jednemi lotnemi linjami owe kłamane linje pół kolumn, które są raczej gzymsami, tak cienkie one, tak podobne do łodygi szpilkowego drzewa.“ Ale ty rozumu nie słuchasz. Wyniesiony nad poziom świata, otoczony jasnością złocistą, upojony barwą i rytmem i tonem, nie będziesz współczuwał z tym gmachem, będziesz czuł się sam w niebie, poza troską tego świata, po walkach żywota w pokoju wiecznym i szczęściu. I to ci starczy za wszystkie żywe łuki i kolumny południa. Tam budownictwo udaje idealne życie, tu przyznaje się do tego, że murem tylko, ale przenosi cię w świat inny pełen blasku i mocy, szepce ci do ucha, żeś i mocen i cnotliwy, żeś w raju i czegoż chcesz więcej? Uczucie rade, a wyobraźnia może wśród złocistych sklepień tysiączne roić obrazy.

Już nie miała potem północ tak rajskiego widzenia jak w Spirze, ale wytrwała na raz obranej drodze, i budowała gmachy na to już tylko, by człowiek myślał, że jest w jakimś zaczarowanym świecie.

Jeszcze w Spirze jest wiele podobieństwa do południa. Fasada spokojna, jakby w Toskanie. Biegną po niej równoległe pasy kamienia, na przemian białego i czerwonego, a okrągłe okno zwisło nad ganeczkiem romańskim w przyczółku. Dach jeszcze tu nienadto wysoki nie łamie harmonji linji, a choć na wewnątrz nie masz plastycznego życia szczegółów architektonicznych, znajdziesz ład i miarę. Wreszcie całe spokojne wrażenie wnętrza, szczęście to całe, co w nim wieje, przypomina kościoły i świątynie południa z tym tylko dodatkiem, że tu system łuków mniej konsekwentny jak we Florencji, ale dojrzalszy już jak w Pizie.

W sto lat później popuszczono już wodze północnej wyobraźni w Moguncji. Prawda że rój cały domków przyrosły do kościoła, okrył jego oblicze brzydkim grzybem mieszkań ludzkich. I prawda, że tak podobno od początku było, i że duch Niemiec, co nie pojmował klasycznej nagości, wnet i tę katedrę przyodział w brzydkie szaty. Ale dziwne rzeczy wyglądają z poza domów. Dwa olbrzymie bliźnięta sterczą wysoko; nie wiedzieć, czy to wieże czy kopuły, przystrojone w brabanckie koronki z kamienia. Krągłe to, ogromne, ciężkie wieże, u szczytu zakończone kopułą. Kamień łamie się na nich i tworzy trójkąty dzierzgane, niby na symbol trójcy, a przy każdej wielkiej wieży stoją mniejsze i smuklejsze, podobnie przystrojone. Zdaje ci się, że widzisz przed sobą jakieś miasto a nie kościoł jeden. Ale domy i kamienice tak otoczyły szczelnie wieże, że nio możesz do nich przystąpić, i że nie wiesz, którędy wchód do owego pysznego grodu.

Wreszcie pokażą ci drogę. Wejdziesz ciasnemi drzwiami i przez kilka kurytarzy do wielkiej podłużnej sali. Wszedłeś do niej z boku i masz przed sobą wązką stronę tej sali, podzielonej wzdłuż na trzy nawy sklepione i ciemne. Arkady między nawami małe, filary jednostajne, a tylko gwieździste sklepienie przypomina, że to kościół.

Na prawo i na lewo widzieć u końca wielkiej sieni schody i za niemi jakieś komnaty mroczne. Na lewo, gdy wyjdziesz po niższych nieco schodach, znajdziesz się jakby w krągłej włoskiej chrzczelnicy, gdzieś całkiem na osobności. Jesteś po prostu we wnętrzu ośmiokątnej wieży. Oko twoje, pędząc do góry, darmo szuka światła. Same tam ciemności szafirowe, a w sklepieniu łamią się i krzyżują trójkąty w dziwną abrakadabrę wśród której migają się tylko złociste gwiazdy.

Na prawo schody większe wiodą cię gdzieś do góry, i myślałbyś rad, że to droga do niebieskiego zjawienia. Ale tu świat mroczny choć barwny, górna sadyba tajemniczego czarodzieja. Budowa niby podobna jak w Spirze, tylko że kopuła kilkakrotnie wyżej wybujała nad głowę, bo i tu jesteś w wnętrzu wieży. Oko goni w głąb, w ciemności, i znów napotyka fantastyczne mroki nocnego sklepienia. Jesteś wysoko, w olbrzymim przestworze, ale samotny wśród nocy. Nie masz rytmu linji w wielkiej nawie i nie widzisz prawie nawy owej. Sam jesteś z nocą i z trwogą. Tylko jakieś poczwary, z drzewa rzezane, otoczyły cię. I tuś przybył w bajeczne kraje dzieciństwa, ale w kraje trwogi i zaklęcia, i myślisz, żeś popadł w moc czarownika. Takim powstał w dwunastym wieku tum w Moguncji.

Tu jeszcze sklepienia krągłe, choć niespokojne, tu jeszcze zrósł się w całość kolosalną kamień czerwony i trzy gmachy, z których tum się składa, szczelnie sparte o siebie. Gdy przyszedł wiek trzynasty, zniknął nad Renem stare tradycje, przywiezione z południa, do reszty, architektura zapomniała o wszelkiem prawie i powstał dziwaczny tum w Strassburgu.

Gdy zechcesz nań spojrzeć z zewnętrznej strony, ujrzysz, że tu żadnej nie ma całości. Nie obsłoniono tu ścian przybudowanymi domkami, a jednak wszystko tworzy chaos nieujęty, gorszący dla tych, co sobie wyrobili sąd w Grecji i Italji. Z przodu wznosi się wielki kwadratowy prawie mur, jak na mur nadzwyczaj gruby, a jak na gmach nad miarę cienki, który się wznosi wysoko, pozbawiony życia i potęgi. Z jednego rogu tego muru wyrasta olbrzym niezmierny, jedyna żyjąca rzecz w gmachu, wieża wielka, o smukłym, szpiczastym, kamiennym dachu. To nieregularna fasada, wcale niemająca żadnej styczności z gmachem z tyłu.

Kościół dalej rudy, niski, długi — tak dziwnie wygląda przy wyniosłej fasadzie, że myślisz prawie, że to tylko nędzna jakaś przybudowana szopa. Nie już wieża, ale mur fasady nie wiedzieć wiele razy wyższy od swego karłowatego długiego kościoła, po za którym dopiero chór się wznosi na kształt trzeciego gmachu, jakiegoś wielkiego romańskiego baptysterjum, przybudowanego do niskiego kurytarza kościelnego. I kościół i chór ów wyglądają ubogo; widać w nich nieregularne, poczęści gotyckie, poczęści romańskie okna, i widać przy nich przypornice, czyli masywne półłuki, bez wszelkiej potrzeby przyparte do ściany, ale ani jedno ani drugie nie służy do ozdoby tej nieorganicznej masy.

Tylko jedna fasada ozdobna, tylko ją ukochał artysta, i tylko ona jedna ma pretensją do piękna. I gdyby budowniczy był myśl swą wykonał, byłaby fasada ta symetryczną i mniej

fantastyczną, jak jest dziś. Ale mieszkańcy Strassburga osądzili, że dobrze jej tak jak jest, i taka jak jest ze wszech miar zasługuje na naszą uwagę, a to tem bardziej, że chwalą ją o lepsze tak Niemcy jak Francuzi.

Najprzód, i to najpierw ci powie każdy, co tę fasadę podziwia, jest ona niezmiernie wysoką, a wieża równa się z piramidami egipskiemi i z kopułą świętego Piotra. Nie widać tego wcale po wieży owej, ale trzeba temu na słowo wierzyć, i chcąc tak się tym kościołem cieszyć jak się cieszą Francuzi i Niemcy, trzeba sobie wyobrażać, wiele trudu i pieniędzy kosztowało postawienie takiej wieży.

I zawsze ten trud i koszt, i misterna sztuka zwracają głównie na siebie uwagę. Prawda, że się portal, już w ostrołuk zagięty, gdzieś ukrył w głąb muru, na sposób tajemniczy, prawda, że cztery wielkich okien gotyckich, ułożonych po parze na każdem piętrze, i wielkie krągłe okno nad portalem między dwoma górnemi oknami tworzą układ prosty, a niepozbawiony wzlotnej siły; ale i siła i prostota, ukryte pod misterną tkanką koronek i nici kamiennych; a najwięcej na siebie zwracają uwagę ostre jak brzytwy, pasy kamienia, co wzlatują pionowo ponad okna, dziwiąc cienkością. I ta misterna tkanina staje się naprawdę wzlotną, gdy się pnie dokoła wieży, tworząc rusałczane przypornice, coraz węższe i wątlejsze, które wreszcie tworzą cienki szczyt. Każdy patrząc, musi podziwiać misterny kunszt architekty, czyli raczej snycerza, a fantastycznie z boku ustawiona wieża, choć ani wdzięczna ani groźna, czyni wrażenie dodatnie lotnością skrzydlatą.

Wnętrze nic nie wie prawie o tej fasadzie. Na poły romańskie ono, a na poły gotyckie, mroczne i niewyraźne. Ciężkie łuki, sparte o krótkie filary, gniotą widza w trzech nawach. W głównej nawie ciąży nieznośnie ciężkie sklepienie, w bocznych szpecą ściany nieregularne i niepewnie zagięte okna, strojne tylko w cudowną kamienną koronkę.

I tu chór, to trzeci gmach osobny, z dołu ledwo widziany. I tu uprzytomniona myśl stulecia w chórze. Ale zaszły tu znaczne zmiany od czasów Spiry i Moguncji, i tu gotycyzm także przebija, podobnie jak w wielkich już oknach i czasem w ostrołuk zagiętych sklepieniach nawy.

Chór stoi jeszcze zawsze na wywyższeniu i krzyż rozpościera się zawsze jeszcze dokoła niego. Ale wywyższenie obejmuje tylko głowy i serce krzyża, a ramiona po obu stronach nie wynoszą się po nad poziom nawy głównej. Stało się to nie w chęci złączenia tych dwu jakoby odrębnych kościołów, ale raczej w chęci utworzenia z obydwu tych ramion nowych jeszcze odrębnych całości.

Kopuła tedy znikła, stracone wszelkie znaczenie perspektywicznej całości, a wielki ołtarz ustąpił z serca krzyża, kościoła i chóru, by się usunąć gdzieś w głąb, w głowy, w jaskinne prawie mroki. Nie masz tu zgoła do podziwiania nic nad misterne wykonanie szczegółów i nad grozę powszechnego mroku. Szczegóły te koronkowe i wzlotne istniały zawsze na podziw kobiet i dzieci i czyniły zawsze z tej katedry arcyrobótkę niewieścią. Mrok podobno był niegdyś rozjaśniony, pozłotą i barwą, tak, że kościół ów nie wyglądał tak jak dziś więziennie, i bodaj czy nie był pięknym strojny w barwy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIEDZIELA W ANGLJI.

Tylko ci są wstanie odczuć całą rozkosz wypoczynku dnia niedzielnego, którzy z powodu zajęć obowiązkowych zmuszeni są wyrzec się go w części, lub też w zupełności. Obecnie wszelako w wieku pary i telegrafów liczba w mowie będących pracowników rozpostarła swe panowanie na wszystkie stany bez różnicy. Nie ulega wątpliwości, że dzień wypoczynku po całotygodniowej pracy ma bezwarunkowo rację bytu, zachodzi tylko pytanie w jaki sposób dzień ten powinien być spędzony. Systemat chrześciański nakazuje przedewszystkiem skupienie ducha i oderwanie się od wszystkiego co ziemskie i przeniesienie się myślą w światy wieczyste, następnie zaleca modlitwy i zwiedzanie domów bożych stosownie do tego, gdzie kto czuje potrzebę pomodlenia się. Z drugiej strony znowu, rzecz naturalna, że niepodobna jest, aby człowiek mógł bezwzględnie oderwać się od wszystkiego co ziemskie i odpoczywając, nie chciał — każdy w swój sposób — stać się pożytecznym dla innych. W sprawach świeckiej natury jak np. uczenie się i nauczanie, odpoczynek po całotygodniowej pracy w celu nabrania sił do nowego zajęcia, wypoczynek, którego może nam użyczyć tylko bezczynność, traci szybko swą wartość dla człowieka przyzwyczajonego do pracy. Bezczynność przeznaczona jest dla znużonych i kończy się znużeniem; czynność domaga się znowu swych praw, a czynność przeprowadzona torem niepowszedniego zajęcia, staje się wypoczynkiem. Kto w ciągu tygodnia dużo czyta i pisze, zajmie się chętniej w niedzielę innego rodzaju robotą, kto zaś przez cały tydzień fizycznie pracuje, chętniej w niedzielę zajmie się pracą duchową. Niezliczona ilość osób jest pozbawiona przez rodzaj swego zajęcia możności dalszego kształcenia się. Dla nich pozostaje do rozporządzenia tylko niedziela. Jeżeli więc tym, którzy używają świąt na uszlachetnienie się i ukształcenie, prawodawstwo danego kraju staje na przeszkodzie, jest to godnem pożałowania. Tu więc zasługują przedewszystkiem na dokładne zbadanie, smutne pod tym względem stosunki w Anglji. Mimo to, że Anglja jest najliberalniejszym ze wszystkich krajów starego świata, trzyma się ona jednakże z zapamiętałością niektórych średniowiecznych praktyk. Nawet samo prawodawstwo w wielu punktach zatkane jest staremi, zacofanemi, niewyjaśnionemi i pozbawionemi wszelkiej tolerancji paragrafami, których wolny powiew postępu nie był wstanie usunąć z ich kryjówek. Można jeszcze tolerować np. aby na posiedzeniach sądowych sędziowie, adwokaci i pisarze występowali tylko w białych perukach i togach, ale z drugiej strony, mało zaszczytu przynoszą John Bullowi kary cielesne będące jeszcze na porządku dziennym w państwie jego, podczas gdy nawet madziarski Tablabiro dawno się już wyrzekł słodkiego zwyczaju „25ciu". Także nie jest zbyt mądrem, że areszt dłużników cywilnych, który w innych krajach po największej części przeszedł już w dziedzinę mytów, w Anglji zajmuje poważnie swe stanowisko.

Szorstko oponując duchowi czasu, przepisy prawa co do obserwowania niedzieli trzymają się silnie w Anglji właściwej — w Szkocji i Irlandji nie obowiązują one. Za granicą, nawet w najpobożniejszych krajach, publicznego bodaj pojęcia o czemś podobnem zrobić sobie nie można. Na przyjezdnym zwyczaje te co do obchodu niedzieli wywierają dziwne wrażenie. Za najlepsze wyjaśnienie w tym przedmiocie posłużyłyby czytelnikowi odpowiednie akta parlamentu. Aktów tych jest nie mniej jak pięć. Pierwszy bill niedzielny, datuje się z czasów Henryka VI. Opiewa on, że pod karą konfiskaty nie wolno na placach i ulicach zajmować się sprzedażą towarów; wyłączone z tej zasady zostały tylko niezbędne materjały spożywcze, i tylko podczas czterech niedziel żniwa, moc obowiązująca tych praw należało zawieszać. Parlament jednakże, który w roku pańskim 1850 (!) zasiadał, uznał z rzadkim sprytem, że to małe złagodzenie jest bluźnierstwem i pospieszył dekret sporządzony w nader niejasnym języku, rozszerzyć do całego roku.

Karol I. po wstąpieniu na tron zwrócił swoją uwagę również na niedzielę. Pierwszy akt, który przeszedł za jego panowania wstąpił na utorowaną już przez Henryka VI drogę i jest nader interesującym. Po kilku skargach na niestosowne i przeciwne prawu spędzanie czasu, którem nieporządni ludzie znieważają „dzień Pana", wyszedł przepis, aby „liczniejsze tłumy nie schodziły się po za obrębem swej parafji, czy to w interesie, czy też dla przepędzenia czasu". Kara ograniczała się do kilku pensów i mogła być zamieniona na areszt. Czy brak zajęcia ministrów Karola i parlamentu się przeciągał, czy też okazała się konieczna potrzeba zarządzenia jeszcze większych ograniczeń na punkcie obserwowania niedzieli, dość, że już trzeci akt Karola I. znowu się zajmował kwestją tego dnia maltretowanego. Akt ten zabrania wszelkim furmanom, stangretom i t. d. prowadzić swe zwykłe zajęcia, „zarówno innych przewozić jak i samemu jeździć w dzień Pana, zwyczajnie zwany niedzielą". Po wożący zarówno jak i jeżdżący podlegają karze od 6 i pół szylinga do 1 funta szt., lub też stosownemu do wysokości tej sumy aresztowi. Że przepisów tych nie trzymają się ściśle, przekonywają nas nie tylko liczne *cabs* niedzielne i omnibusy, lecz jeszcze liczniej w niedzielę kursujące koleje żelazne. Mocy obowiązującej dotąd jednak jeszcze nie utraciły.

Za rzeczypospolitej wprawdzie nie zaprowadzono nowego bilu niedzielnego, istniejące wszelako nie uległy zniesieniu... Jakkolwiek trudno się było tego spodziewać po surowych purytanach owych czasów, to jednak można było liczyć, że Karol II. uzna trzy egzystujące już akty za dostateczne. Laury wszelako jego ściętego imiennika spać mu nie dały, on też musiał ustanowić jakieś prawo „niedzielne". Nakazuje ono, że „dzień Pana każda osoba powinna szanować i ćwiczyć się w pobożności i obowiązkach prawdziwej religji." Dalej prawo to opiewa: „zabrania się kupcom, rzemieślnikom, robotnikom lub innym osobom, które zwykle w dniu Pana, lub przez część takowego zajmują się jakąś świecką robotą, załatwiać takową, z wyjątkiem spraw dobroczynnych i czynności niezbędnych". Kara dochodziła do 5 szylingów, mogła wszakże być zastąpiona fantem lub też dwu-godzinnym aresztem.

Zaszczyt przekroczenia wszelkich granic słuszności zachowano dla owych szanownych ojców kraju z Westminster-Hall, którzy się zebrali w pierwszym perjodzie panowania Jerzego III-go.

Biskup Portens z Chester uważał, że moralność jest zagrożoną przez niektóre zajścia niedzielne w lokalach publicznych. Szczególniej wstrętne dlań były „rozmowy prowadzone wieczorem na przechadzkach przez różne osoby, które nawet uwagę cudzoziemców zwracały na siebie i następnie, że w „teologicznych akademiach“ osoby różnego wieku i płci rozprawiają z taką wolnością o kwestjach religijnych, jak np. o czyścu i t. p., że niepodobna, aby rozmowy te nie wywołały oburzenia duchowieństwa wszelkich narodowości“. On to jest autorem piątego billu niedzielnego. Bill ten bez ogródek zakazuje wszelkich rozrywek, zabaw i t. d. płatnych lub za biletami w dnie niedzielne. Zabawa podobna jest jednak dozwolona, jeżeli w skład jej wchodzi jakaś praktyka religijna, jak modlitwa lub kazanie. Przestępstwo tego rodzaju ściągało karę 200 fns. na głowę przedsiębiorcy a 50 na współwinowajcę. Sprawy te dochodziły do tych ostateczności, że przepis co do towarzystw brzmiał jak następuje: jeżeli miejsce podobne, przeciwne porządkowi „disorderly house“ należy do kilku osób złączonych w jedno towarzystwo, to każdy z nich powinien uledz prześladowaniu i karze! Kary pieniężne idą na korzyść denuncjantów.

Z planem w ręku biegał Portens do członków „izby niższej“ i doczekał się zadośćuczynienia (1780), że bill ten, został w całej treści uprawnionym, mimo to jednakże w Szkocji i Irlandji nie jest ważnym; tylko surowsza Anglja korzysta z błogosławieństwa jego. Bill ten jest bezwarunkowo najnieszczęśliwszym z pomiędzy wszystkich wydawanych za Jerzego III. O niezwykłej surowości, która go znamionuje, zaledwie mała tylko ilość osób w Anglji ma dokładne pojęcie. Weźmy np. zoologiczny ogród w Londynie, który także jest „Disorderly house“. Jest on wprawdzie w niedzielę zamknięty, członkowie jego wszelako mogą wejść za okazaniem karty nawet mają prawo wprowadzać swych znajomych. Gdyby jednak ściśle trzymano się aktów Jerzego, to w takim razie prezes, sekretarz, kurator i każdy członek powinienby zapłacic po 200 f. szt. a lokaje i gazety, które przyjęły ogłoszenia w tym przedmiocie po 50 ft. szt. kary. Każdy zaś, jeżeli posiada tylko tyle bezwstydności, ma prawo żądać wymiaru kary celem wzbogacenia się w łatwy sposób. Albo też:

Ktoś zjadł w niedzielę rano kotlet cielęcy, który mu został przysłany przez rzeźnika, bierze następnie swą kartę i idzie do zoologicznego ogrodu, a po drodze kupuje sobie cygaro i gazetę niedzielną. Następnie rol i wycieczkę dorożką lub koleją i ostatecznie używa przejażdżki morskiej. W tem wszystkiem zwykła śmiertelna dusza widzi niezawodnie same czysto naturalne, przyjemne drobnostki, ale nigdy w życiu coś występnego. Takiemu jednak biskupowi Chester i jego poprzednikom, artystom w kuciu billów niedzielnych, wszystkie te czyny przedstawiają się tak bezbożnemi, że za to wszystko, gdyby liczyć akuratnie, powinien przestępca i jego współwinowajcy — rzeźnik, handlarz cygar, kolporter, dorożkarz, kolejowe towarzystwo, przewoźnik i wszyscy wchodzący w skład (!) ogrodu zoologicznego — zapłacić karę wynoszącą dużo tysięcy funtów szterlingów!

Teraz wszelako przepisy te wszystkie, które strachem przejmowały ludzi chcących się w najniewinniejszy sposób zabawić w niedzielę, nie są prawie przestrzegane. Zaledwie tylko artykuły piątego billu, który najstraszniej się przedstawiał, sterczą niby złowieszcze widmo nad angielskiem społeczeństwem i jednych wstrzymują od urządzania płatnych widowisk a innych od zwiedzania takowych. Tak idealnego zaś przedsiębiorcy, któryby urządzał zabawy gratisowe, dotąd nawet przy świetle lampy dyogenesowej znaleść nie można było.

A teraz przyjrzymy się jak też owa Anglja ściśle trzymająca sie tych pobożnych przepisów, wygląda w niedzielę. Zajrzyjmy od razu do centrum jej życia, do serca jej, do Londynu. Ta potężna stolica Anglji, która przez cały tydzień wre najróżnorodniejszem życiem, nagle w niedzielę żyć przestaje i zamienia się w potężne akropolis, w miasto umarłych.

Wszystkie sklepy niby zamurowane, widowisk publicznych nie ma, ogrody publiczne, galerje i sale koncertowe, wszystko to niby pod wpływem czarodziejskiej laski zamknęło się i czeka z rezygnacją rychło ją słońce poniedziałkowe do życia znowu powoła. Gazety nie oglądają w niedzielę światła dziennego, grać nie wolno, zaledwie uprawiać można muzykę kościelną. *Sacred music.* Niektórzy urządzają wycieczki za miasto, przeważnie zaś klasa wyższa siedzi w domu, śpi, czyta, albo składa wizyty i przyjmuje takowe, a pospólstwo zwiedza szynkownie (public houses) i upija się do rozbestwienia. W poniedziałek też policja ma dużo zajęcia, ale niedziela była ściśle przestrzeganą...

(Dokończenie nastąpi.)

Z ALBUMU

KONSTANTEGO HR. TYSZKIEWICZA.

W rysich skórach, w kołpakach rogatych,
Z łukiem w ręku i z żelaznym młotem,
Z pod święconych dębów rosochatych,
Na rumaku tętniąc kopyt grzmotem,
Leciał witeź na bory, na jary,
I tratował Moskwę i Tatary.

* * *

I litewskie stało święte drzewo:
I wąż mądry pod drzewem się wił,
I gotowy mąż do boju był,
I na stos wstępował siwy Krewo.
Sława szła w krwi z ojca na syna,
Litwa była jak sen Giedymina —
Wśród tych borów mglistych, trąb i rogów,
Wilk żelazny pod dębami Bogów.

* * *

Lecz Baublis runął pod toporem.
O, ktokolwiek wiesz gdzie jego pień!
Jedź tam, wypłacz swoją myśl przed borem,
Że narody przechodzą jak cień,
I że z całych wieków życia sławy,
Ma ogniwa u nóg i śpiew łzawy.

Wprawdzie ta litewska pieśń rycerzy
Dzwoni na świat jako dzwon na wieży,
I zwoływa ludy do kościoła —
I na miejsce miecza niesie krzyż.
Lecz ach! kiedyż wszystkie ludy zwoła
W jeden kościół, w jedną... spiż?

* * *

Bracie, synu Litwy — mnie się zdaje,
Że, by Bogi usłyszały głos,
Czeka naród, drzewo w ogniu taje,
Jak Krywejto, czas wstąpić na stos,
Bo w ofierze, ludów tajemnica,
Krwią poświęceń życie się podsyca.

* * *

W grobach leży zbroja w ogniu kuta,
Łuk i sławna szabla od Kiejstuta,
A nad dęby czarne, wybujałe,
Co dnia krążą tam gołębie białe.
I rycerze nowi puszcz litewskich
Zwyciężają w zbrojach z gwiazd niebieskich.

T. Lenartowicz.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

TOM II.

(Ciąg dalszy.)

Stanisław siedział przy swoim stoliku w biurze redakcji *Orędowniczki*, zajęty jakąś pracą, która nic a nic dzisiaj mu się nie kleiła. Co chwila odkładał pióro na bok i — nie wzdychał, ale miotał się niespokojnie. Ciężyło mu to na sercu, że jeszcze nie wykonał wczorajszego swojego postanowienia, a nie wykonał go z powodu, iż nie miał sposobności rozmówić się z Smiechowskim. Przytem, przy świetle dziennem — chociaż był to szary i wilgotny dzień styczniowy, rzecz przedstawiała się nieco inaczej, tj. rozmowa z p. Władysławem nie wydawała mu się tak łatwą, jak sobie wyobrażał z początku. Smiechowski rad był bardzo z tego, iż go miał w domu; takie nagłe zerwanie, bez dostatecznych przyczyn, źle upozorowane nawałem zajęcia w redakcji, musiało mu się wydać dziwnem. Trzeba było okazać się nieugiętym, a przytem, ani jednym giestem, słówkiem lub spojrzeniem nie zdradzić tajemnicy serca, odegrać po prostu rolę zatwardziałego winowajcy wobec sędziego śledczego. A wszystko to, gdyby się powiodło jak najlepiej, miało być tylko pierwszym krokiem wstępu do nowego życia, ogołoconego z wszelkiego powabu, nie opromienionego żadną nadzieją. Przeszedłszy raz przez próbę podobną, Stanisław nie wiedział, jak potrafi znieść drugą, nierównie cięższą.

Wyrzekł się Natalji, bo musiał, a w smutku swoim znalazł ulgę i pociechę w sympatji dobrych ludzi. Dzisiaj, obowiązek nakazywał mu stronić od tych ludzi. Nie dziw, że w takich warunkach nie mógł dokończyć rozpoczętego artykułu, traktującego o prawdopodobnym rezultacie zjazdu dwóch dyplomatów, którzy w tej chwili zwracali uwagę całego świata na siebie. W końcu, położył pióro na dobre, i zaczął przechadzać się po pokoju, ażeby zebrać myśli.

Wtem, drzwi otwarły się, i do pokoju wtoczył się ktoś, kogo na pierwszy rzut oka można było wziąć za jednego z owych nierzadkich w mieście ptaszków, wracających rano do domu z piętnem przebytej orgii i świeżo nabytej migreny w bladej twarzy i zamglonych oczach. Trwało to sporą chwilę, nim Stanisław poznał w nim dr. Mitręgę. Ale też w istocie p. doktor był nie do poznania. Nawet strój jego, jakkolwiek przed kilkoma dniami zaledwie wyszedł był z pracowni krawieckiej, przybrał był wszelkie pozory materjalnej i moralnej ruiny. Nie podarł się, ani powalał, ale tylko wyglądał jakoś okropnie mizernie, że nie powiem, szubrawo. Strojowi odpowiadała cała postawa. Nie był to ów przystojny człowiek tak pewny siebie, tak imponujący na zewnątrz, jakiegośmy zawsze dotychczas znali. Nie był to nawet ów dr. Mitręga, teatralnie udający rozpacz z powodu miłości do panny Kluszczyńskiej, jakiegośmy raz widzieli w tym samym pokoju. Był to raczej jakiś skazaniec, stojący u stóp szubienicy, drżący, wystraszony, słaniający się i jęczący.

Z płaczem nieudanym, ale też i niemęzkim, rzucił się na szyję Wołodeckiemu.

— Panie Stanisławie — jęknął — jestem zgubiony!

Nie spostrzegł nawet, że nie zamknął drzwi za sobą, i że przez te drzwi widzieli go wszyscy współpracownicy *Orędowniczki*, którzy nie mogli żywić dla niego najmniejszej sympatji. Spostrzegł to Stanisław mimo całego zdziwienia, w jakie go wprawić musiało tak niespodziane zjawisko. Poszedł zamknąć drzwi.

— Na miłość Boga, co się stało? — zapytał.

— Jestem zgubiony! Honor — wolność — majątek — wszystko, wszystko tracę! Ratuj mię pan, panie Stanisławie!

Z tym okrzykiem, rzucił mu się już nie na piersi, ale do nóg — jota w jotę tak samo, jak wczoraj rzucał się Salewicz, a potem jego matka, każdemu, od kogo mogli spodziewać się pomocy.

I jota w jotę tak samo, jak przed laty Stanisław tulił i uspokajał rozpaczającego z miłości ku Natalji, jął i teraz tulić i koić złamanego i drżącego ze strachu. Nie od razu udało mu się dowiedzieć, o co chodzi.

Rzecz była prosta. Z zeznań Salewicza, poczynionych w sądzie, wynikało, że na rachunkach zestawianych przez dyrekcję Banku Filodemicznego polegać nie było można. Po części więc w celu wyjaśnienia, czyli w istocie nastąpiła jaka defraudacja w kasie ze strony Salewicza, a po części dla sprawdzenia jego zeznań co do stanu ksiąg i interesów Banku Filodemicznego w ogóle, udała się nazajutrz, tj. tego dnia o którym mówimy, rano, komisja sądowa do biur Banku. Między innemi zeznaniami Salewicza było i to, że bank rozpoczął kroki egzekucyjne przeciw pewnemu dłużnikowi na prowincji, który w odpowiedzi wykazał się kwitem na zapłaconą ratę, przez p. dyrektora Mitręgę podpisanym. Kiedy więc dr. Mitręga wyprawiwszy żonę do rodziców, pospieszył do banku, zastał tam urzędników bankowych przelęknionych, krążących po kurytarzu itp. a w biurze rozgospodarowaną na piękne komisję, liczącą pieniądze, przeglądającą i pieczętującą księgi itd. Jak piorun uderzyła go myśl, że przeglądną i jego księgi podręczne, w które wpisał pozycje spłacone przez ajenta owego wieczora, gdy tak bardzo potrzebował pieniędzy do Krachenburga. Pozycji tych nie było w innych księgach, ani też dotychczas nie oddał ich dr. Mitręga do kasy, z tego prostego powodu, że ich nie miał. Gdyby miał tę sumę obecnie przy sobie, mógłby był nadrobić miną, zaimponować sędziemu śledczemu twierdzeniem, że jako dyrektor ma osobną kasę podręczną, i zredukować całą rzecz do rozmiarów prostego drobnego nieporządku, podlegającego w najgorszym razie naganie Rady Zarządzającej, nie zaś interwencji sądu. Ale pieniędzy nie było...

Najnaturalniejszą rzeczą w takim wypadku było udać się do teścia, i Stanisław zrobił tę uwagę dr. Mitrędze. Zresztą, p. Mitrężyna posiadała, jeżeli nie gotówkę, to klejnoty, które mogły posłużyć do pożyczenia nieznacznej stosunkowo sumy.

— Do teścia! Do żony! Ztamtąd, panie Stanisławie, nie mam najmniejszej nadziei na pomoc! Kluszczyński jest prostym oszustem, który mię zrujnował, a żona jest kobietą bez serca, egoistką, która mię kocha o tyle, o ile z tą miłością łączy się posiadanie świecidełek, o których pan mówisz!

Co do p. Kluszczyńskiego, mówił dr. Mitręga zupełną prawdę. Co do pani Natalji, prawdę tę należało brać *cum grano salis*. Nie przeczę, że jego miłość łączyła się dla niej z posiadaniem najrozmaitszych świecidełek, jubilerskich, towarzyskich i innych — ale z drugiej strony nie chciałbym twierdzić, że w takim wypadku nie oddałaby kilku kolji i braseletek dla ratowania człowieka, który bądź co bądź był jej mężem i ojcem jej dziecka. Powiem tedy szczerą prawdę: oto dr. Mitręga nawet po tem, co się stało dziś rano, ba, nawet wobec katastrofy, która mu groziła, chciał wobec żony stać na piedestalu pańskości, honoru, rozumu i wszelkich innych przymiotów, na którym się postawił i nie miał odwagi zstąpić z niego od razu, wyznając jej prawdę. Wszak pamiętamy, że w Krachenburgu wolał raz zastawić garnitur wypożyczony od jubilera, niż zwierzyć się żonie z ambarasu, naówczas doprawdy tylko chwilowego. Ale — mimo przestrachu swojego na widok komisji sądowej, a może właśnie z powodu tego przestrachu, przypomniał sobie, że Stanisław chciał wczoraj składać kaucję za Salewicza. Stanisław nie pokazywał mu wprawdzie dukatów Maryni, bo jak wiemy, po drodze dowiedział się, że już za późno i sprawa uciszyć się nie da, skoro ją oddano sądowi — ale dr. Mitręga zostawał pod wrażeniem, że Stanisław w ostatecznym razie, zrobiwszy wielkie wysilenie, zdoła wydobyć niezbędną tu kwotę 500 idealników. Tak było w istocie, a co więcej, dr. Mitręga nie mylił się, przypuszczając, że Stanisław byłby zdolnym ponieść dla niego tę ofiarę. Byłby ją nawet poniósł, mimo wszelkiej opozycji ze strony Smiechowskiego, u którego ulokował był kapitalik swojej matki, ale jak wiemy, czekała go dzisiaj innego rodzaju rozprawa z Smiechowskim. Na wszelkie tedy insynuacje p. Emanuela, zmuszonym był odpowiedzieć, że bardzo wątpi, by mu się udało do południa, a nawet do wieczora, wydobyć taką sumę.

Potrzeba było obmyśleć coś innego. Dziwna rzecz, że w podobnych wypadkach ludzie, którzy zawsze i wszędzie, mniej lub więcej godziwemi sposobami, umieją sobie dać radę — regularnie tracą głowę i sami lecą w ręce karzącej sprawiedliwości, podczas gdy ludzie uczciwi, najmniej zdolni do popełnienia karygodnego czynu, prędzej znajdują dla nich środki ratunku. Tak było i tym razem.

— Ja sądzę — rzekł Stanisław — że gdybyś pan napisał bilet do żony tej treści, iż nagłe interesa, któreby dokładnie wymienić należało, zmuszają pana do wyjazdu, i gdybyś pan w istocie znikł z Wilkowa na kilka dni, wszystko dałoby się jakoś ułożyć: wszak wracając z podróży, mógłbyś pan, równie dobrze jak dzisiaj, wytłumaczyć się przed sądem, że pieniądze, o które chodzi, masz pan w kasie podręcznej...

— Zapewne, ale nie mam ani mizeraka w kieszeni na drogę!

— Na to mogę poradzić po części — odparł Stanisław, przeszukując swoje kieszenie i szufladę biurka.

Na szczęście czy na nieszczęście, odesłał mu był właśnie księgarz należytość za tomik poezyj, który miał wydać pod pseudonimem »Lelum Polelum«. Razem z jego »kasą podręczną« było tego około pięćdziesięciu kilku idealników. Z tych Stanisław wręczył okrągłych pięćdziesiąt dr. Mitrędze i wyprawił go w drogę, przyrzekając mu wykonać wszelkie polecenia, jakieby mu nadesłał listownie. Szanowny doktor wyszedł równie chwiejnym krokiem, jak przyszedł.

Wołodecki pozostał znowu sam ze swojemi myślami i z resztą swoich idealników. Myśli plątały mu się w głowie w sposób tak nieznośny, że chwilami obawiał się, iż postrada zmysły. Co, jak, kiedy powiedzieć Smiechowskiemu? Jak przeboleć utratę Maryni? Jak przyjść w pomoc Mitrędze, dla którego poczuwał się jeszcze zawsze do długu wdzięczności? Ani razu bowiem nie przyszło mu na myśl, że dług ten oddawna z lichwą był spłacony, i że zresztą p. Mitręga wpadł tylko w łapkę, którą sam nastawił — dlaczegoż

bowiem był wczoraj tak nieubłaganym dla Salewicza, skoro mógł wiedzieć, że śledztwo sądowe raz rozpoczęte, wyprowadzi na jaw i jego sprawkę? Jeżeli Stanisław robił tę uwagę, to utwierdzała go ona chyba w przekonaniu, że dr. Mitręga popełnił jedynie lekkomyślność, a nie zbrodnię. Ale jak mu pomódz? Naruszyć kapitalik matki o pięćset idealników, to znaczyło, dodawać z własnych dochodów to, czego potrzebowała na swoje utrzymanie. Dochody te, po doświadczeniach z p. Harapnickim, mogły niespodzianie uledz nowej redukcji. Stanisław mógł skazywać na nędzę sam siebie, ale nie staruszkę, przed którą zawsze ukrywał troskliwie swoje niedobory. A potem, jeszcze, i jeszcze raz, jak się rozmówić z Smiechowskim. I znowu ta wszechobecność Maryni przeszywała mu serce, jak sztyletem. Męcząc się w ten sposób, wpadł nakoniec w jakieś bolesne otrętwienie, w rodzaj zemdlenia moralnego.

— Swieże telegramy! — zawołał w tej chwili stróż redakcyjny, następca Marcina, kładąc na stół kilka kopert, opatrzonych urzędową pieczęcią.

Stanisław, na pół przebudzony, wziął depeszę do ręki, otworzył jednę machinalnie, i równie machinalnie zaczął czytać:

»Krachenburg, 8. stycznia. Ciągnienie losów pożyczki loteryjnej chaocko-teremteckiej. Główna wygrana padła na los N⁰ 1484.» Na dole, dla większej pewności, dodano z urzędu literami skonstatowaną cyfrę: »*Tysiąc czterysta ośmdziesiąt cztery.*»

Stanisław czytał, ale nie rozumiał. Nagle, jak sen, poczęło mu coś majaczyć po głowie. Zdawało mu się, że już raz gdzieś coś słyszał o tej loterji chaocko-teremteckiej i o numerze 1484. Powoli, wspomnienia jego zaczęły przybierać wyraźniejszą postać. To pamiętał z pewnością, że między papierami, które zdeponował u Smiechowskiego, znajdował się los, który jego matka przed dwoma czy trzema laty kupiła od Salewiczowej i który mu następnie przysłała. Pamiętał i numer, ale któż w takim razie dowierza swojej pamięci? Stanisław zerwał się i z telegramem w ręku popędził do domu, jak mógł najspieszniej.

— Ależ toś mię przestraszył! — zawołał Smiechowski, widząc go wpadającego jak bomba. Czy Bombogromski wygrał jaką walną bitwę, albo czy może Skirgiełło przysłał ci nominację na którą z posad, piastowanych przez Harapnickiego?

— Patrz, patrz! — zawołał Stanisław, pokazując mu depeszę.

— Ho, ho! Czekaj! — to mówiąc, przystąpił p. Władysław do swojej ogniotrwałej kasy, wyjął z niej plik papierów, a z tego pliku jednę niewielką ćwiartkę, oglądnął ją i podał Stanisławowi. — Masz tutaj okrągłą sumkę 250.000 idealników *in Confusions Münze*, różnica między nią a dzisiejszą walutą wystarczy na zapłacenie podatku od wygranej.

— Ale... czy to prawda... czy jest pewność?

— Telegram jest urzędowy, i numer, jak widzisz, urzędownie literami sprawdzony. Gdybyś chciał, możesz za godzinę zeskontować wygraną w pierwszym lepszym banku.

— Kochany, drogi Władysławie! — zawołał Wołodecki, rzucając mu się na szyję.

— A, wiesz—odparł Smiechowski przypatrując mu się uważnie, nie sądziłem, by cię pieniądze tak ucieszyć mogły!

— Nie pieniądze, nie, ale mój drogi, jeżeli to prawda, to daj mi czem prędzej 500 idealników. Jeno czemprędzej, czemprędzej!

— Oszalał chłopak! Masz tu pięćset idealników, ale powiedz mi, co zamyślasz z niemi zrobić? Jeżeli chcesz fundować śniadanie, to czekaj, pójdę z tobą!

— Powiem ci później! — krzyknął na wpół przytomny mój bohater, porywając paczkę banknotów i wylatując z pokoju.

— Oszalał chłopak!—powtórzył Smiechowski, ruszając ramionami i chowając szczęśliwy los do kasy.

— Ja ci przecież jeszcze wczoraj coś podobnego mówiłam — odezwała się p. Aloiza, pojawiając się w tej chwili w pokoju.

I w istocie, wczoraj wieczór, podczas gdy Stanisław płakał w swoim pokoju, podczas gdy dr. Mitręga troszczył się nieugiętością swego gospodarza, pani Smiechowska rozmawiała z p. Władysławem i udzielała mu swoich spostrzeżeń, według których Marynia miała być bardzo »zajętą« p. Stanisławem, a p. Stanisław Marynią. P. Smiechowski, wbrew jej oczekiwaniu, ani podskoczył do sufitu, ani nawet nie wytrzeszczył na nią zdziwionych oczu, ale zbył ją jakimś dobrodusznym żartem. Nieco później, gdy Marynia weszła do pokoju, pocałował ją w czoło, i zapytał ją, czy zawsze będzie mu przyrządzała takie wyborne obiady, jak dzisiejszy? Marynia oczywiście zapewniała, że zawsze, a on raz jeszcze, tym razem na dobranoc, pocałował ją w czoło, i powiedział z uśmiechem:

— Oj, nie zawsze, ty filucie, nie zawsze!

Teraz zaś odparł na uwagę p. Alojzy:

— Przecież to, coś mi wczoraj mówiła, nie dowodziło jeszcze, że oszalał. Chyba że pani przypuszcza, iż szaleństwem jest kochać się w jej córce! Ale teraz, widzisz, wygrał na loterji ćwierć miliona idealników i to mu zawróciło głowę. Wpadł tu do mnie, porwał pięćset idealników, i wyleciał jak oparzony: to już symptomat bardzo niebezpieczny! To się często zdarza wygrywającym niespodzianie na loterji.

— Tak samo wyleciał wczoraj z dukatami Maryni, a za godzinę wrócił bardzo smutny, oddał jej pieniądze, i powiedział, że już *za późno.*

— Otóż widzisz, że on ma jakiegoś bzika. Wpadać dzień po dniu po znaczniejszą sumę pieniędzy, biegać z nią po mieście, i wracać z wiadomością, że już *za późno*, i że wszystko stracone, to nie świadczy o zdrowych zmysłach. Zobaczysz, że dziś zrobi to samo.

— Ale... dlaczegożby... to z pewnością dalszy ciąg sprawy tego biednego Salewicza. Wołodecki ma niezmiernie dobre, złote prawdziwie serce, a ty zaraz powiadasz, że ma bzika. Fe, jesteś nie dobry.

— Salewiczowi na razie nie pomogą żadne pieniądze. Tu chodzi znowu o inną osobę. Podczas mojej rannej przechadzki uważałem w pobliżu Banku Filodemicznego, a co gorsza, w pobliżu pomieszkania p. dr. Mitręgi, pewne figury, które mi się bardzo podobały, ale które nie mogły podobać się bankowi i p. doktorowi. Otóż przyznaj, że człowiek, który w dzień chce ratować swojemi funduszami jakiegoś defraudanta, ma stanowczo o jednę klepkę mniej, niż mu potrzeba, zwłaszcza jeżeli się kocha, jeżeli przeto chce się żenić, i zostać kiedyś ojcem rodziny. Za takiego człowieka rozsądni ludzie nie mogliby nigdy wydać córki.

Nim p. Smiechowska zdołała odpowiedzieć, otwarły się drzwi i wszedł Stanisław. Miał łzy w oczach. Położył na stole paczkę banknotów, usiadł i westchnął:

— *Za późno!*

— A co, nie mówiłem ci? — zawołał z tryumfem p. Władysław, obracając się do żony.

(Dokończenie nastąpi.)

Z wystawy sztuk pięknych.

Z nadchodzącą smutną jesienią, z odlotem ptaków wędrownych, zamknięto podwoje XIII. z rzędu lwowskiej wystawy sztuk pięknych. Zanim z urzędowego sprawozdania Towarzystwa podamy szczegółowy rezultat korzyści odniesionych z tegorocznej wystawy, już teraz nasuwa się nam nader miłe spostrzeżenie, że mimo ciężkich warunków, z jakiemi sztuka u nas dziś jeszcze walczyć musi, znajduje ona jednak coraz to szersze koło zwolenników, przyjaciół i mecenasów. Dowodzi to, że wystawy nasze, chociaż chwilowe, rozbudzają coraz większe zainteresowanie się ogółu tą u nas egzotyczną rośliną, zowiącą się sztuką.

Podczas całego trwania wystawy, podawaliśmy czytelnikom krótkie oceny obrazów, w miarę przybywania ich na wystawę; dziś chcemy sprawozdania te uzupełnić i rozpoczniemy nasz przegląd od utworów nieodżałowanej pamięci artysty-malarza A. Gryglewskiego. Prace jego na minionej wystawie podzielić się dadzą na dwa działy, a mianowicie na obrazy skończone i studja. Ogólna liczba dzieł przedstawia cyfrę 35 numerów. Jest to więc prawie kompletna wystawa, stanowiąca dla siebie odrębną całość. Widzimy tam obrazy, któremi artysta po pierwsze laury sięgał, aż do ostatniego „Ratusza w Gdańsku“ — grobu jego. Jednym z owych pierwszych jest wnętrze kaplicy w Krośnie.

W obrazie tym przedstawia się śp. Gryglewski jako artysta już patrzeć umiejący, choć nie z tą doskonałością, jakiej dowody złożył w późniejszych swych dziełach. Nie znajdujemy tu jeszcze tej głębi, tej przestrzeni powietrznej i tej wykwintnej precyzji w oddaniu przedmiotu, co nas w późniejszych utworach tego artysty w zdumienie wprowadza. Arcydziełem w obrazku

tym jest prawdziwie Matejkowska figurka dziada, jako sztafaż użyta.

Inne późniejsze prace Gryglewskiego były już nie jednokrotnie oceniane. Są to cenne studja do obrazów. Wnętrze sal wilanowskich i zamku Podhoreckiego, Sala balowa w Łazienkach w Warszawie, Cerkiew Wołoska, Zalane saliny Wielickie, wszystkie te szkice tak treścią jak wykonaniem najobojętniejszego widza zając i zachwycić zdołają.

U schyłku dni wystawowych przybył ostatni z czterech portretów marszałków sejmowych, portret hr. Wodzickiego. Portret ten, malowany przez Siemiradzkiego, słuszny budził ruch i interes w gronie tłumnie zwiedzającej wystawę publiczności. W kolorycie i prawdziwie par excellence inteligentnym rysunku twarzy, czuć tu mistrzowski pendzel autora „Pochodni", choć postać marszałka przedstawia się nieco sztywnie.

W poprzednich sprawozdaniach mówiliśmy już o wystawionych obrazach rodzajowych; do tych zaliczyć jeszcze należy prace p. Łosia i p. T. Rybkowskiego. Obrazki te trącą pewną pretensjonalnością rodzajową, na widzu jednak żadnego wrażenia nie robią. Są to na poły pejzaże, na poły „tableaux des genres". Obrazek p. *Łosia* p. t. „W lesie" jest dobrze rysowany, trzymany w odpowiednim do tematu, szarym tonie, jednak razi swoją oschłością i brakiem tego stopienia barw, jakie w naturze widzimy. W obrazku „Dumka", p. *Rybkowskiego,* znajdujemy wprawdzie to stopienie barw, tę harmonję w kolorycie, nie radzimy mu jednak figur bardzo na pierwszy plan wysuwać, gdyż rażą one u niego brakiem proporcji i błędami anatomicznemi. Ręce naprzykład kozaka, grającego na teorbanie, są nie do przebaczenia.

Po raz pierwszy przed szerszą publicznością wystąpili na tegorocznej wystawie z pracami swemi dwaj młodzi adepci sztuki, uczniowie akademii wiedeńskiej, pp. *Rejchan* i *Styka.* Pierwszy wystąpił z obrazem zatytułowanym: „Genjusz opuszczający artystę". O pracy tej nie wiele da się powiedzieć, radzimy artyście trzymać się jeszcze studjów i kopij, w których celuje, czego dowodem jest wystawiona jego kopja z Rembrandta. P. *Styka* wystawił płótno szerszych rozmiarów, przedstawiające: „Pożegnanie Chrystusa z matką". W kompozycji zdradza młody artysta bardzo poważny kierunek i dobrą szkołę. Na szczególną uwagę zasługuje pełna uczucia głowa św. Jana.

O obrazach p. *Żmurki,* o których tak pochlebnie wyrażały się pisma krakowskie i warszawskie, z prawdziwą trudnością pisać nam przychodzi. Powiadamy z trudnością, sądząc bowiem miarą poprzedzających obrazy reklam, sąd nasz wypadłby z ujmą dla autora. W obrazach swych przedstawia się nam p. *Żmurko* jako człowiek i jako malarz — młody. Młodość jest płochą. U p. *Ż* jednakże płochość ta połączoną jest z wybitnym talentem. Napotykane więc trudności omija on, prześlizguje się tylko po powierzchni, nie zadając sobie najmniejszego trudu nad ich pokonaniem. Obraz zatytułowany „Kazimierz i Esterka" najlepszym jest tego dowodem. Jest to właściwie bardziej scena romansowa, aniżeli obraz historyczny. Kazimierz nie jest tam ani pod względem psychicznym ani fizycznym, tą piękną a tak dobrze nam znaną, z zabytków archeologicznych i historycznych, postacią. To nie pan sprawiedliwy, to nie król chłopków. Z drugiej jednak strony, w linji kompozycyjnej w ugrupowaniu i rozkładzie światło-cienia, w wydobywaniu kontrastów, a przedewszystkiem w kolorycie, złożył p. Żmurko dowody wielkiego talentu. Przebaczyć mu z tem wszystkiem nie można lekkomyślności w rysunku i pewnej oryginalnej płochości w pozbywaniu się szczegółów, a gonieniu za czczym efektem. *Le dessin est la probité de l'art* napisał Guillaume pod pomnikiem genialnego Ingresa.

(Dokończenie nastąpi.)

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Józef Rogosz. Marzyciele. Powieść historyczna z pierwszej połowy wieku XIX. 3 tomy. Lwów 1881. Nakładem Księgarni Polskiej. str. 189, 231 i 251.

Suum cuique. —

(Dokończenie).

Jeżeli typy i charaktery dodatne — w znaczeniu narodowem — są skreślone wybornie, to typy: starosty Jaczickza, komisarza Wyskoczila, mandatarjusza Gauera i całej gromady jego kolegów, są mistrzowskie. Do ich nakreślenia użył autor — mówiąc językiem malarzy — maniery szkicowej i grubego pędzla. a jakaż mimo to dosadność rysunku, wykończenie charakterystyki. Ci ludzie, mimo tylu stron śmiesznych, mimo pełnych humoru sytuacyj, w jakie ich wstawia autor, nigdzie nie przechodzą w karykaturę, nigdzie nie dopatrzyliśmy się przesady. Nawet te postacie, które w powieści naprowadza autor tylko okolicznościowo — jak dyrektor policji Sacher, starosta Breindl — są scharakteryzowane zgodnie z prawdą dziejową.

Jeżeliby w ogóle możebnem było, wprowadzić pewne stopniowanie krytyczne, co do wybitności i mistrzowstwa charakterystyki typów główniejszych w powieści, to na czele wszystkich musielibyśmy postawić ks. Czajkowskiego i Kohutowicza. Cały pietyzm, jaki autor miał dla zacności człowieka, świętości kapłana, prawości Polaka i bystrości męża nauki, wlał w postać ks. Czajkowskiego, tego prawdziwego sługi bożego, która każe się od pierwszego pojawienia na scenie powieści, nie tylko kochać ale czcić... Jedyna to w „Marzycielach" mniej marzycielska postać; trzeźwiej trochę od innych patrząca na stosunki, ale ponieważ życie nie postawiło ks. Czajkowskiego na takiem stanowisku, aby mógł być wybitniejszym żywiołem politycznym i społecznym, przeto nie może on publicznie strzedz narodu przed pochyłością i zgubnością drogi, po której tenże idzie. Brakuje mu zresztą, jak każdemu cichemu słudze kościoła inicjatywy czynu. Wie on, że się źle dzieje, że trzebaby powstrzymać ruch fałszywy, ale zrażony jednem słowem niechęci, jednym niesłusznym zarzutem, cofa się, zamyka w sobie, boleje, cierpi, poświęca się, aby wreszcie zginąć jako ofiara ruchu, któremu był przeciwny. I jego, jak każdego człowieka gorącej duszy, porywa za sobą prąd czasu, fatalizm wypadków, i ten nie marzyciel daje życie między marzycielami, za wspólną sprawę...

Ten cichy, święty paroch ruski, to antyteza drugiego Rusina Kohutowicza, postaci na wskróś demonicznej, którą porusza nienawiść do wszystkiego co szlacheckie i polskie. O ile ks. Czajkowski jest duchem biernym, o tyle ten człowiekiem inicjatywy i czynu. Jasno zdaje on sobie sprawę ze stosunków; bystro odgaduje cele polityki rządowej, a pchany demonem nienawiści, staje się z całą samowiedzą narzędziem tej polityki. Raz odgadłszy cele, nie przebiera w środkach, chyba o tyle, że gwałtowniejsze, potworniejsze, wydają mu się także skuteczniejszemi. Z nienawiści ku szlachcie, staje on się mścicielem krzywd ludowych i promotorem rzezi. Duch to rozkładu społecznego; duch, który w innych stosunkach mógłby oddać rzetelne przysługi temu ludowi, który go wydał, a tak wychodzi z odmętów z piętnem kaimowem na czole. A jednak, mimo całego demonizmu tego człowieka, mimo grozy jego czynów, mimo nienawiści jaką zieje ku nam, mimo wszystkich ujemnych pierwiastków, w jakie obfituje charakter Kohutowicza, nie możemy go całkowicie potępić; nie możemy na niego rzucić anathema, bo czujemy, że samo społeczeństwo winno, że z jego środka wychodziły takie gady. Zresztą autor, na dnie duszy tego człowieka zostawił ślady czystszych porywów; zostawił mu miłość ku rodzinie, a sam fakt, że nienawiść powstała skutkiem znieważenia mu ojca, łagodzi jego winy. Mówimy „łagodzi" a nie „usprawiedliwia", aby nas nie spotkał zarzut, że zbrodnie usprawiedliwiać chcemy. W żadnej może postaci „Marzycieli", tak dobitnie nie stwierdza się prawda, że poznawszy wszystko, wiele wybaczyć można.

Powiedzieliśmy, że w „Marzycielach" stworzył autor liczne typy i nie cofamy tego słowa. Kto zbadał epokę przedstawianą przez autora, ten zgodzi się z zapatrywaniem naszem i przyzna, że takich Kamienieckich, Czesławów, Gauerów, Kohutowiczów, Jaczickzów, Goldzickich i Radwańskich miała nasza społeczność przed rokiem 1848; a na niektórych jeszcześmy po 1848 własnemi patrzyli oczami. O jednym ks. Czajkowskim nie twierdzilibyśmy z tą samą co o innych stanowczością, że jest typem, gdyż wydaje on nam się za — idealnym. Ale być może żeśmy takiego typu tylko nie spotkali. W każdym razie jestto postać, której charakterystyka przynosi zaszczyt autorowi i stworzeniu jej z całego serca przyklaskujemy.

Mielibyśmy autorowi zrobić jeden zarzut, ale nader skromnie z nim występujemy, bo jest on trochę dziwnej natury. Raczejbyśmy go życzeniem, nie zarzutem, nazwali. Autor każe hrabiemu Kamienieckiemu popełnić samobójstwo i na usprawiedliwienie czynu, kładzie mu w usta słowa: „Ojczyznę moją widzę w żałobie i wątpię by jej kiedy lepiej było.... Straciłem wszystkich, których kochałem...... ciężko mi żyć samemu, a więc idę z temi się połączyć, z któremi umrzeć nie umiałem...." Nam się zdaje, że taki koniec hrabiego i te ostatnie testamentowe słowa, są niejako dyssonansem w charakterze Kamienieckiego, a co więcej: obniżają wartość etyczną powieści przynajmniej o pół tonu. Hrabia jest przeważnie słabego, miękkiego charakteru, a tylko ma błyski energji; w jednej sprawie jednak, w jednem uczuciu jest niespożycie wytrwały — miłości ku ojczyźnie. Charakteru takiego nawet wielka burza nie złamie. Ten marzyciel nawet po za katastrofę przeniesie swoje marzycielstwo, on nigdy nie zwątpi. Może umrzeć ze zgnębienia, ale dobrowolnie nie zada sobie śmierci, tem więcej, że jako gorliwy katolik, uważa samobójstwo za grzech. Można więc było dać mu śmierć naturalną; konsekwencji charakteru, niczem by to nie ubliżyło, a wysoce podniosło moralną stronę powieści. To testamen-

*

towe słowo zwątpienia w przyszłość ojczyzny, jest dyssonansem, tem prędzej dającym się dostrzedz, że całe przeprowadzenie powieści i jej ostatnie karty wskazują, jako autor całą potęgą swego pióra chciał wlać w czytającego wiarę i przekonanie, o lepszej przyszłości narodu...

Architektonice powieści nie wiele mamy do zarzucenia. Widocznie autor obmyślił skrupulatnie przebieg akcji i raz powziąwszy myśl wykonał ją bez odwłoki; to też kompozycja jest jakby jednego odlewu; nie widać żadnego zboczenia od przedmiotu; autor zdąża prosto do wytkniętego celu. Tylko rozdział pierwszy wydaje nam się zbytecznym i bez niego całość niczby nie straciła na jasności akcji i dosadności charakterystyki. Autor umie wyzyskać przymioty swojego pióra. Gra on na duszy czytającego jak znakomity wirtuoz; potrafi go przeprowadzić przez całą skalę najrozmaitszych wrażeń; od skrajnego komizmu, do wysokiej dramatycznej grozy; od śmiechu do wzruszenia; a wszędzie zachowuje tę delikatną artystyczną miarę, która go chroni zarówno od trywialności jak sztucznego patosu. Jak już wyżej powiedzieliśmy, jest realistą w kreśleniu scen i osób, ale nie mniej pozostawia im pewne idealne tchnienie, które je różni od ludzi codziennych i codziennego życia.

Autor pisząc „Marzycieli“ jako powieść historyczną, nie idzie za wzorami istniejącemi tak w naszej, jak innych narodów literaturze; on *rodzaj* stwarza sam sobie. Powieść jego nie jest niczem podobna do dotychczasowych powieści historycznych, jest na wskróś oryginalną. Skok jaki uczynił Józef Rogosz od „Pokuty“ do „Marzycieli“ jest tak olbrzymi, że z zadziwienia wyjść nie możemy. Stanął on „Marzycielami“ na takiej wyżynie, że chyba dalszy rozwój jego talentu jest niemożebny i drugiej takiej skończonej powieści dać nam nie będzie w stanie. Ale choćby nawet tak było, czego przypuszczać nie chcemy, to „Marzyciele“ sami, zapewniają autorowi swemu, jednę z najpiękniejszych kart w dziejach literatury ojczystej.

W. J. Wdowiszewski.

Kronika Tygodniowa.

Jaka to szkoda, że gabinet turecki zdecydował się bez wystrzału oddać Dulcynęę Czarnogórcom. Z jego strony jestto błąd, którego mu nigdy nie daruje hr. Drohojowski, ów bohater ubiegłego tygodnia ćwiczący się w używaniu swej wietrznej, czy tam wiatrowej broni w nadziei, że talent swój strzelniczy będzie mógł spożytkować na obronę Austro-Węgierskiej ojczyzny. Szanse wojny upadły, a talent p. hrabiego razem z wiatrówką dostały się do rąk świetnej prokuratorji, która jak się zdaje nie mając w sobie ani za centa wojowniczego usposobienia, gotowa mu wytoczyć sprawę o przedwczesne rozpalenie w sobie animuszu wojennego... Boże drogi, co też to teraz w tych pańskich głowach się mieści! Zabiję i zapłacę pięć papierków, pomyślał sobie nasz bohater i puknął do ślepego grajka... No, no, zobaczymy czy też ta wiatrowa energja wyjdzie paniczowi na zdrowie.

Jedna okoliczność zastanawia nas przy tem wszystkiem, że tutejsi korespondenci pism niemieckich nie telegrafowali o tem do Wiednia. Panowie, pomiarkujcie się, wszakże to ani mniej ani więcej, jak tylko demonstracja polityczna przeciw niemieckiej narodowości. Do kogoż strzelał hrabia? — do człowieka grającego na katarynce. A cóż to jest katarynka? Jest reprezentantką niemieckiego kultu, rodzonym dziecięciem Germanii, godłem jedności i harmonji posłusznych ręce która dzierży ich korbę. Attak na tę rękę jest zbrodnią przeciw narodowości i sądzimy, że „Neue Freie Presse“ nie omieszka tego faktu podnieść do znaczenia politycznej demonstracji, grożącej zagubą niemieckiej narodowości w Austrji.

Ot i z tym teatrem niemieckim u nas, już tyle napisano gwałtów, że panowie oficerowie tutejszego garnizonu, wzięli sobie to za ambicję robić na złość „Gazecie Narodowej“ — i podobno gromadnie ambonują miejsca na przyszłe przedstawienia. Gdyby nie ten alarm Gazety, teatr niemiecki dałby sobie kilka przedstawień, naprzykład w ogródku Sztengla, narobiłby trochę długów i drapnął. W ostatecznym razie, moglibyśmy mu wykraść jaką pannę Bocskay, lub coś podobnego i finita comedia! A tak panie, Niemcy i żydzi biorą na ambit i będziemy mieli przez całą zimę widowiska niemieckie, naturalnie więcej nabite, niż w gmachu Skarbkowskim. Co to jest, umieć w sam czas narobić wiele hałasu o nic!

Na grudzień mamy zapowiedziany spis wszelkiego żyjącego na ziemi królestwa Galicji i Lodomerji stworzenia, począwszy od ludzi a skończywszy na tych, których nazwiska nie śmiem tutaj wymienić. Statystycy zapewniają, że to będzie bardzo ważny akt w życiu naszem, i żeśmy się do tego aktu powinni zabierać ze skruszonem sumieniem, zwłaszcza gdy idzie o zapełnienie rubryki, jakiego używamy języka w stosunkach domowych, albowiem ten ma stanowić o naszej narodowości na następny lat dziesiątek. Wobec wiejących dziś prądów, spodziewamy się, że narodowość nasza na tem nie straci, idzie tylko o to, aby użyte do spisu osoby zechciały kierować się prawdą, i osobistościom wątpliwego pochodzenia dokładnie objaśniły znaczenie tych rubryk, tudzież obowiązki dla kraju, w którym się urodziło i wychowało, a zatem, który powinien być ich ojczyzną.

Z okazji tego spisu podnieść musimy pierwszy objaw życzliwości nowego ministra skarbu dla naszego kraju, że wszystkie druki przeznaczone do tego spisu, polecił wydrukować u nas. A tych arkuszy będzie coś około sześciu milionów i przynajmniej nasze drukarnie coś zarobią, nie tak jak dawniej gdy wszelkie tego rodzaju roboty wykonywały się w Wiedniu. Gdyby tę metodę zechciano rozciągnąć i do innych dostaw rządowych dla wojska, dla urzędów, dla poczty (np. żółtych karet, zdaje się także fabrycznych w Wiedniu), — nasz przemysł fabrykowany i rękodzielniczy mógłby się powoli rozwijać jeżeli już nie na wywóz, to przynajmniej na własne potrzeby. — Kto temu nie wierzy, prosimy niech przeczyta z całą znajomością przedmiotu napisany artykuł p. Walerego Kołodziejskiego w kwestji dobrobytu w Galicji ze stanowiska technika, a przekona się, ile u nas jeszcze jest do zrobienia nawet w warunkach tych, jakie obecnie istnieją. Trzeba tylko ludzi, a nie płaczu i narzekań, trzeba poczucia obowiązków społecznych a nie komedji takowych, tzeba prawdziwej miłości ojczyzny, a nie manekina takowej ubranego w kontusz i wielką czapkę z piórem. Dlatego też, gdybyśmy układali szemat do spisu ludności, okok innych rubryk dodalibyśmy jeszcze jedną z napisem: „co zrobił jako obywatel dla kraju?“ a wtedy dopiero moglibyśmy policzyć ile mamy prawdziwych obywateli.

* * *

Zbliżający się obchód 50-letniej rocznicy powstania z roku. 1830. obudza coraz więcej ruchu i zajęcia między weteranami owej epoki, którzy z różnych stron świata zgłaszają się z odezwami swemi do komitetu. Otóż w tych dniach pokazywano nam list p. Chełmickiego Józefa z Tariva z Portugalii, gdzie jako jenerał dowodzący 9. brygadą konsystuje. Uderzającem jest, że zostając tam od r. 1838, pisze tak czysto i poprawnie po polsku, że wielu naszych literatów, mogłoby czerpać z niego naukę języka polskiego. Szanowny ten uczestnik powstania z r. 1831 zamierza po wzięciu dymisji i emerytury, osiąść stale w Galicji, aby resztki życia przepędzić na ojczystej ziemi.

* * *

Założone rok temu w Tylży przez kilku miłośników i znawców rzeczy litewskich „Literackie Towarzystwo litewskie“, cieszy się nadspodziewanem powodzeniem. Zadaniem Towarzystwa jest odszukiwanie wszelkiego rodzaju pamiątek i pomników, świadczących o życiu, języku i historji litewskiego narodu. Dnia 1. marca, zaledwie po kilku miesiącach istnieniu, już Towarzystwo liczyło 123 członków czynnych, 5 honorowych i 8 członków-założycieli. W ogólnej tej liczbie 136 członków, znajduje się sześciu Polaków. Inicjatywę do założenia Towarzystwa dali miejscowi Litwini pruscy, to też i większa część, a przynajmniej połowa członków składa się z rodowitych Litwinów. Przedewszystkiem Towarzystwo zamierzyło zająć się ustaleniem pisowni języka litewskiego a to na podstawie systemu Schleichera, ku czemu zasięgnęli już zdania kompetentnych uczonych w Kłajpedzie (Memlu), Tylży, Gumbinie, Królewcu i Getyndze. Dalszy ciąg programu Towarzystwa jest następujący: zbadanie kłajpedzkiego narzecza i jego pomników, zbieranie pieśni i motywów litewskich, wiadomości o drukach litewskich chroniących się w bibljotekach Londynu, Lwowa(?) i innych, a nareszcie zebranie ścisłych cyfr statystycznych o ilości wszystkich Litwinów i o ich coraz większem ubywaniu. Zamiarem jest także Towarzystwa zaprowadzenie w Królewcu osobnej bibljoteki litewskiej, w którejby można było znaleść wszystko bez wyjątku, co się kiedykolwiek w Litwie w ogóle pisało w najrozmaitszych językach, jakoteż wszystkie dumki w języku litewskim. Organem Towarzystwa są: „Mittheilungen der lithauischen literarischen Gesellschaft“ wychodzące zeszytami od 2 do 5 arkuszy druku, nakładem p. Karola Wintera, księgarza w Heidelbergu. Dotychczas wyszły dwa tylko zeszyty. Jest to wprawdzie nie wiele, lecz zważywszy na szczupłe środki pieniężne, jakoteż i niemniej szczupły zapas członków, wszystko ludzi pracy i zarobku ciężkiego, należy się dzi-

wić, że i tego, co jest, dokonano, a znana wytrwałość Litwinów, jest dostateczną gwarancją, że Towarzystwo ich nie zgaśnie w zarodzie, jak tyle innych przedsięwzięć, choćby naszych polskich.

W końcu dodajemy, że wszystkich Litwinów jest do 2.000,000, z których 150.000 wypada na Prusy.

* * *

Sławny akademik francuski, Ernest Legouvé, w świeżo ogłoszonych w dzienniku „Temps“: „Etudes et souvenirs de theatre“, podaje zajmujące szczegóły o Fryderyku Szopenie. Nie wiele mając niestety wiadomości z życia naszych znakomitych rodaków, tem skwapliwiej korzystamy ze sposobności i szczegóły te za p. Legouvé powtarzamy.

Z Szopenem poznał Legouvé'go Berlioz.

Pewnego dnia przyszedł ten ostatni do niego i rzekł: „Chodź pan ze mną, a zobaczysz coś, czegoś jeszcze nie widział i poznasz kogoś, którego nigdy nie zapomnisz.“

Poszli.

Na 2 piętrze w małym umeblowanym pokoiku mieszkał mistrz polski.

Dopiero co przybył do Paryża.

Był blady, smutny, elegancko ubrany.

Uderzył Legouvé'go swojemi nadzwyczaj łagodnemi oczami.

Włosy zwieszały mu się na czoło.

Na prośbę Berlioza zagrał.

Gra jego wprawiła obu w zdumienie.

Ale dajemy głos Legouvé'mu:

„Nie mogę Szopena lepiej zdefiniować, jak nazywając go czarującą trójcą. Pomiędzy osobą jego, jego grą a kompozycjami, była taka harmonja, że tak samo nie można ich było rozłączać, jak rysów jednej i tej samej twarzy.

Dziwne tony, jakie wydobywał z fortepianu, podobne były do błyskawic, jakie promieniały z jego ócz; chorobliwa nieco delikatność jego postaci, zgadzała się z poetyczną melancholją jego Nocturnów, a wyszukana, staranna odzież, kazała się domyślać światowej zupełnie elegancji pewnych części jego kompozycyj; robił na mnie wrażenie naturalnego syna Webera z księżniczki, a to, com nazwał jego trzema istotami, tworzyło tylko jedną. Geniusz jego rzadko budził się przed 1. godziną po północy. Aż do czasu tego był tylko czarującym fortepianistą. Gdy noc nadchodziła, przyłączał się do tańca duchów nadpowietrznych, istot skrzydlatych, do wszystkiego, co w zmroku nocy letniej lata i błyszczy.

Wtedy potrzebował bardzo ograniczonej i wybranej liczby słuchaczów.

Każda najmniej mu wstrętna osoba pozbawiała go przytomności.

Słyszę go jeszcze szepczącego do mnie pewnego dnia, gdy mi się gra jego zdawała być nieco wzburzoną: „To pióro owej damy, jeżeli pióro to nie będzie usunięte, nie będę mógł grać dalej!“ — przyczem wskazał oczyma na siedzącą naprzeciwko damę.

Gdy siedział przy fortepianie, grał, dopóki zupełnie nie osłabł. Ponieważ nieuleczona nagabywała go choroba, przeto były oczy jego czarnemi otoczone obrączkami, wzrok jego przybierał blask febryczny, usta stawały się purpurowemi jak krew, oddech stawał się krótkim; wśród nocy czuliśmy wraz z nim, że razem z tonami uchodzi coś z jego życia, a jednak nie chciał przestać, a nie mieliśmy siły do powstrzymania go!

Febra, która go trawiła, napadała nas wszystkich.

A jednak istniał środek jeden, aby go odwieść od fortepianu: potrzeba było tylko prosić o marsz żałobny. Nigdy nie wzdrygał się go zagrać, lecz zaledwie ostatni ton przebrzmiał, brał za kapelusz i odchodził.

Utwór ten, który był niejako pieniem śmierci jego narodu, był dlań za bolesny; przegrawszy go, nie mógł wymówić ani słowa.

Szopen umarł w wieku lat czterdziestu, będąc jeszcze młodzieńcem, bo twarz jego nigdy nie traciła wyrazu młodzieńczego. Istota jego miała wyraz lekko szyderczy, po którym poznać było można pańskie jego pochodzenie. Nie zapomnę nigdy odpowiedzi po jedynym publicznym koncercie, jaki dał kiedykolwiek. Liszt chciał pisać o nim. Pospieszyłem do Szopena, by mu przynieść dobrą tę wiadomość, lecz rzekł łagodnie: „Wolałbym, gdybyś pan to był zrobił.“— „Ale co ty myślisz, kochany przyjacielu, artykuł Liszta, to przecież szczęście dla publiczności i dla pana. Zaufaj pan jego podziwieniu dla pańskiego talentu. Zapewniam pana, że wysławiać pana będzie jako króla fortepianistów.“— „Tak — odparł łagodnie Szopen — gdzie on sam będzie cesarzem.“

Jedno z plemion zaginionych.

Nieraz zapytujemy, wskutek jakich szczególnych wypadków pewna rasa zwierząt może zniknąć? Aż do pewnego punktu możemy zadowolić się odpowiedzią, że wskutek polowania bez żadnego ograniczenia, lub też z powodu braku warunków życia, wynikłego ze zmiany stosunków kraju lub okolicy.

Jakie jednak mogą być przyczyny zupełnego zniknięcia niektórych plemion ludzkich, których typy przechowała nam historja lub muzea w pojedyńczych okazach?

Historja rasy tasmańskiej w części odpowie na to pytanie.

Wielka wyspa, odkryta w roku 1642 przez Abel Tasmana, którą nazwał „Ziemią Van Diemen'a“, żywiła ludność miejscową, obliczoną, według urzędowych źródeł, na 7 tysięcy dusz.

W roku 1803, dnia 29. marca, porucznik John Bowen otrzymał rozkaz udania się do Tasmanji z kilkoma żołnierzami, w celu założenia tam zakładu karnego. Dnia 3. maja 1804 roku porucznik Moore kazał bez żadnej przyczyny strzelać do gromadki krajowców, złożonej z mężczyzn, kobiet i dzieci, zajętych polowaniem na kangurów — kilku czarnych było zabitych i ranionych. To zabójstwo i różnego rodzaju nadużycia, popełniane przez osadników, wkrótce spowodowały krwawy odwet. *Czarna wojna* rozpoczęta, rozszerzała się w miarę postępu Europejczyków, których liczba powiększała się z każdym dniem; czarni coraz dalej byli wypierani, stając się ofiarą tej nierównej walki, jednakowoż opierali się przez wiele lat. W roku 1830, gubernator wyspy, pułkownik George Arthur, chcąc skończyć z tą sprawą, uorganizował wielką obławę, za pomocą której spodziewał się zabrać w niewolę wszystkich krajowców. Obława ta kosztowała skarb kolonialny 70.000 funtów szterlingów i skończyła się na schwytaniu dwóch czarnych!

Lecz od tej pory, nieszczęśliwi krajowcy umieli sobie zdać sprawę z liczby i siły białych nieprzyjaciół i z bardzo małym wyjątkiem wszyscy upadli na duchu. Wtedy pewien prosty rzemieślnik z Hobart - Town, nazwiskiem George August Robinson, podjął się sam jeden uspokoić całą wyspę. W towarzystwie małej liczby krajowców sobie oddanych, między którymi figurowała jedna kobieta, której względna piękność zyskała imię Lalla Rookh, — i męża jej Waraddeya, byłego naczelnika wyspy Bruni, poszedł szukać dzikich krajowców, ukrytych w głębi lasów, i z narażeniem życia zdołał przyprowadzić do Hobart-Town ośmiu pozostałych wolnymi.

Od tego czasu liczba pozostałych przy życiu krajowców nie przenosiła 210. Rząd angielski dokładał wszelkich starań, celem zachowania i podniesienia resztek tej nieszczęśliwej ludności, lecz niestety była już ona przeznaczoną na wymarcie! Przeprowadzona na wyspę Flinders, gwałtownie zmniejszała się; w roku 1842 liczyła 54 żyjących członków — w październiku 1847 zaledwie 44. Wtedy pozwolono tym ostatnim przedstawicielom siedmiu tysięcy Tasmanów powrócić na rodzinną wyspę, przeznaczając im na mieszkanie miejscowość oddaloną o kilka mil od Hobart-Town, w Oyster-Cove, targowicy na ostrygi, odwiedzanej przez podróżników francuzkich.

W roku 1859 Bonwick znalazł tam tylko 6 kobiet i 5 mężczyzn. Ostatni z tych, William Lanney, umarł 8. marca 1869 roku. Dzienniki doniosły nam w zeszłym roku o śmierci Lalli-Rookh, która przeżyła o 7 lat wszystkich swoich współkrajowców.

Tak więc w ciągu niespełna siedmdziesięciu lat ludność tasmańska w zupełności znikła, nie pozostawiając innych śladów swego istnienia, oprócz kilku metysów, rozproszonych po małych wysepkach archipelagu cieśniny Bass.

W obec faktu zupełnego zniszczenia całej grupy ludzkiej, wielu podróżników, między innymi Darwin, okazywali głośno swoje oburzenie. Wymówki czynione przez nich koloniom europejskim są uzasadnione, jednakże ci, którzy na Tasmanów urządzali obławę jak na dzikie zwierzęta, nie mogą być całkowicie odpowiedzialnymi za ich wyniszczenie.

Ze spostrzeżeń czynionych w Flinders i zatoce na ostrygi wynika, że krajowcy z Van-Diemen w części powymierali z choroby niezwykłej, którą Europejczycy zdają się roznosić po świecie morskim; choroba ta częściowo wyludniła już Polynezję, zaczyna atakować małe archipelagi i objawia się nietylko przez powiększenie śmiertelności ale przedewszystkiem przez zmniejszenie rozmnażania się.

Przed zupełnem zniknięciem Tasmanowie pozostawili dostateczne materjały do dokładnego oznaczenia cech, wyróżniających ich od innych plemion. Przechowało się więcej niż 20 portretów po największej części kolorowanych, popiersi lub w całej postawie, robionych przez artystów różnych ekspedycji naukowych, lub przez malarzy z Hobart-Town; dziewiętnaście fotografji z których trzy przedstawiają Lallę Rookh zdjętą z boku, z całej twarzy, i w trzech czwartych postaci — dwa popiersia modelowane przez rzeźbiarza z Hobart-Town zwanego Laid — jedno tejże samej kobiety w młodym wieku, drugie jej męża w sile wieku itp.

Zestawiwszy wszystkie dane, porównawszy Tasmanów z innemi pokoleniami czarnemi, zamieszkałemi w Oceanii, przychodzi się do przekonania, że stanowili oni sami w sobie oddzielną rasę. Ich włosy czysto wełniaste różniły się od włosów Australczyków, najbliższych ich sąsiadów geograficznych; cera czarna bardzo ciemna, słabo oliwkowa wyróżniała ich od Papuasów a zbliżała do Negritosów; lecz od tych ostatnich różnili się znowu niektóremi rysami twarzy, między innemi spłaszczeniem środka nosowego, szerokością nozdrzów i brakiem podbródka.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Pan Kornel Ujejski ogłasza co następuje: Prawie po dwumiesięcznej podróży wróciwszy do kraju, dowiedziałem się o rozpuszczonej podczas mojej niebytności pogłosce, jakobym na cześć Najjaśniejszego cesarza Austrji miał napisać kantatę — oświadczam niniejszem, że żadnej kantaty nie pisałem, tem bardziej, że nikomu nie przyszłoby nawet na myśl wymagać tego odemnie.

Kornel Ujejski.

*** Od dnia 1. października zaczął wychodzić w Stryju „Kurjer Stryjski," mający się ukazywać co dwa tygodnie we czwartek. Pisaliśmy niejednokrotnie o potrzebie i ważności u nas prasy prowincjonalnej, powstanie więc każdego takiego nowego organu witamy z prawdziwem zadowoleniem. Z pierwszego okazowego numeru widać już, że „Kurjer Stryjski" prowadzony jest wprawną i doświadczoną ręką, że nie goniąc za efektami, podaje prawdziwie ciekawe, pożyteczne i konieczne wiadomości miejscowe i z okolicy, co wszystko wróży powodzenie, którego mu z całego serca życzymy. Wydawcą „Kurjera Stryjskiego," jest p. Stanisław Woynarowski.

*** Nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu, wyszły: „Wspomnienia z mojego życia," napisane przez Michała Budzyńskiego w 1860 r. Ocenę tej obszernej, dwutomowej pracy, podamy później, na właściwem miejscu.

*** „Z rozpaczy," humoreska sceniczna M. Gawalewicza, drukowana w *Biesiadzie literackiej*, wyszła nakładem Ungra w oddzielnej odbitce.

Tegoż autora krotochwilę „Kraszewski w Warszawie" grano z wielkiem powodzeniem w Poznaniu.

*** „Walka Rusinów z Rusinami," zeszyt II, opuścił prasę drukarską.

*** W Kołomyi wyszła z druku książeczka zatytułowana: „Pamięci Franciszka Karpińskiego, poety serca,, przy uroczystem odsłonięciu pomnika w Kołomyi dnia 16. września 1880 r. poświęca komitet". Zawiera ona odczyt Tytusa Słoniewskiego o Karpińskim, miany na wieczorku urządzonym w Kołomyi 6 maja 1880 r. na cel pomnika poety; mowę wygłoszoną przy odsłonięciu pomnika przez Fr. X. Białoskórskiego; odpis dokumentu złożonego w fundamentach pomnika; oraz spis datków na pomnik Karpińskiego.

*** W Warszawie pojawił się na półkach księgarskich „Kodeks światowy, czyli znajomość życia we wszelakich stosunkach z ludźmi, na podstawie dzieł pani d'Alq. ułożony przez Spirydiona".

W czterdziestu paragrafach autor wyłożył tu kurs przyzwoitości towarzyskiej, uznanych form konwenansu światowego i zwyczajów salonowych...

Rzecz napisana gładko, urozmaicona trafnemi uwagami i spostrzeżeniami.

*** Redakcja *Bibljoteki Warszawskiej*, mając sobie powierzony fundusz, z powodu jubileuszu Kraszewskiego w ilości rs. 719 w Kaliszu na wydawnictwo dzieł ludowych zebrany, po zniesieniu się w tym względzie z jubilatem, ogłasza konkurs na napisanie książeczki ludowej, p. t. „Rola i jej uprawy pod różne płody".

Nagroda z odsetek od pomienionego wyżej kapitału wynosić będzie rs. 100.

Własność rękopismu i wszelkie korzyści wydawnictwa pozostają przy autorze, który obowiązany jest w ciągu półroku pracę swą ogłosić; w przeciwnym razie prawo druku służy redakcji *Bibljoteki Warszawskiej*.

Prace konkursowe nadsełać można do redakcji *Bibljoteki* do dnia 1go czerwca 1881 r.

Do rękopismu dołączoną być winna zapieczętowana koperta z nazwiskiem autora.

*** Pan de Rémusat, zachęcony powodzeniem pamiętników swej matki, przystępuje z kolei do wydania korespondencji ojca swojego, który był, jak wiadomo za czasów Napoleona I. prefektem cesarskiego pałacu Tuilleries.

Będzie to rzecz nader zajmująca; nie jeden wypadek ówczesny odsłoni się w nowem świetle, i niejeden też przybędzie rys nowy do charakteru człowieka, który przez ćwierć wieku trzymał losy świata w potężnej swej dłoni.

*** W Peszcie, Józef Cada, czeski agitator robotniczy, zacznie wkrótce wydawać w języku kroackim nowe socjalno-demokratyczne pismo p. t. *Hlas Lida.*

*** Wychodzącemu w Chicago czasopismu *Obcan* odebrany został debit pocztowy w państwie Austrjackiem.

*** W Warszawie komitet do spraw prasowych zezwolił: p. drowi A Świętochowskiemu na wydawanie tygodnika społeczno-naukowego p. t. *Prawda;* p. Cezarowi Wilanowskiemu na wydawnictwo perjodyczne p. t. *Przewodnik bibljograficzno-archeologiczny;* p. Hermanowi Benniemu na wydawanie pisma tygodniowego p. t. *Gazeta świąteczna;* p. Wincentemu Kruzińskiemu na wydawanie czasopisma *Nowości muzyczne.*

*** Kosmos, czasopismo polskiego towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, w zeszycie VIII i IX z rb. zawiera: 1. Fizyka we współczesnej Francji. Studjum Zygmunta Wróblewskiego. 2. Przekrój w Środkowych Karpatach, podał Henryk Walter c. k. starszy komisarz górniczy. 3. Roślinność letnia i jesienna okolic Bilcza i Cygan, podał Bronisław Błocki. 4. Krótkie sprawozdanie z uskutecznionych we Lwowie od maja 1879 do końca maja 1880 r. chemicznych rozbiorów towarów, napoi, używek itp. ciał, przez M. D. Wąsowicza. 5. Notatki naukowe. Wykaz niektórych ryb znajdujących się w Prucie, koło Delatyna; przez M. Wierzbowskiego. 6. Przegląd krytyczny podręczników, używanych do wykładów nauk przyrodniczych w galicyjskich szkołach średnich. Podręczniki dr. A. Pokornego, przez prof. dra I. L. Petelenza. 7. Kronika naukowa, przez Br. Radziszewskiego i M. D. Wąsowicza. 8. Wiadomości bieżące.

*** Gazeta Rolnicza w Nr. 41 z rb. zawiera: 1. Viribus unitis. 2. Reformy włościańskie w dawnej Polsce w XVIII wieku, szkice historyczne przez Walerego Przyborowskiego. 3. Błędy praktyki gospodarskiej, napisał Stanisław Rewieński. 4. Opisy gospodarstw. Szczorse, przez Aleksandra Jelskiego. 5. Listy z gubernii kijowskiej, przez R. W. 6. Przegląd polityczny. 7. Wiadomości bieżące. 8. Rozmaitości. 9. Kurjer rolniczy. 10. Odcinek zawiera: Szlachta w świetle własnych opinij, studjum historyczne Wład. Smoleńskiego. Ocenił Aleksander Rembowski.

Nauka.

*** Wydział filologiczny uniwersytetu wrocławskiego ogłosił pomiędzy innemi zadaniami konkursowemi jedno z zakresu polskiej filologji. Zadanie to brzmi: *Die Sprache des polnischen Theiles des Florianers - Psalters soll übersichtlich dargestellt werden, insbesondere sind die Vocale in ihrer Qualität und ihrem lautgesetzlichen Verhalten nach zu unterhalten.* Termin wyznaczony do stycznia 1881 roku. Nagroda za najlepszą pracę 150 marek. Równocześnie fakultet ten ogłasza, iż autorowi premjowanej pracy, jeżeli rozprawa kwalifikuje się na rozprawę doktorską, ofiaruje wolną doktoryzację.

*** Głuchoniemy uczony. W Lyonie miał miejsce fakt nader ciekawy. Młody głuchoniemy, p. Maurycy Kochlin z Mülhousy, szesnastoletni zaledwie, złożył egzamin na pierwszy stopień uczony bakałarza (baccalauréat) nauk filologicznych z takiem odznaczeniem, że egzaminatorowie przyznali mu stopień *dobry*, bardzo rzadko otrzymywany. Zapytania zadawano na piśmie, dla uniknienia pomyłek, ale odpowiedzi jego ustne na te zapytania były tak wyraźnie wypowiadane, jakby przez osobę obdarzoną słuchem i mową. Domyślał się on niejako wyjaśnień, jakich od niego żądano, i zarzutów, jakie mu czyniono, odpowiadał na nie natychmiast głośno i zrozumiale. Parę tylko razy w ciągu całego egzaminu potrzebu było powtarzać frazes, którego dobrze nie zrozumiał.

Przedziwny to rezultat metody, polegającej na wyuczeniu głuchoniemych rozumienia wyrazów z samych tylko ruchów ust mówiącego i odpowiadania słowami, których również nie słyszą. Potrzeba tylko, żeby głuchoniemy widział dobrze mówiącego, wyraźnie artykułującego zgłoski. Wyćwiczony wzrok jego doskonale mu w tym razie zastępuje brak słuchu.

Kto był na egzaminach w warszawskim instytucie głuchoniemych, ten miał sposobność przekonania się o znakomitych zaletach tej metody, ze szczególną troskliwością i tam praktykowanej, jak niemniej o świetnych jej rezultatach.

Sztuki Piękne.

*** Słyszeliśmy, iż wkrótce, w tym bowiem miesiącu, otwartą zostanie w Warszawie stała wystawa dzieł sztuki i starożytności pod kierunkiem archeologa p. B. K. Szaniawskiego.

*** Pani Marcelina Kochańska przybyć ma jeszcze w tym miesiącu do Warszawy na szereg dziesięciu występów gościnnych w operze.

Układ już podobno zawarty.

Znakomita śpiewaczka pobierać będzie 800 rs. za występ.

Równocześnie zaangażowano na występy gościnne znanego w Niemczech basistę p. Seydemana (Warszawianina).

*** P. Władysław Żeleński przełożył „Szkołę na fortepian" przez pp Stark i Lebert napisaną, a cieszącą się w świecie muzykalnym zasłużonem powodzeniem.

Rzecz tę poprzedza aprobacja wszystkich znakomitości, począwszy od Liszta.

Szkoła składa się z czterech części — wydaną zostanie obecnie część pierwsza z dołączeniem niektórych ustępów części drugiej, które tłumacz uznał za stosowne dołączyć.

*** W Wiedniu, na pierwszym koncercie orkiestry uczniów konserwatorjum, wykonano w tych dniach, pod kierunkiem Helmesbergera, nową uwerturę p. Wilh. Czerwińskiego, pianisty ze Lwowa.

*** Tygodnik „Deutsches Familienblatt" podaje ciepłą wzmiankę o rysowniku polskim, Danielu Chodowieckim, oraz o jego cennych pracach z wieku zeszłego.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Encyklika papieska z 30-go września, rozciąga uroczystość św. Cyryla i Metodjusza, apostołów słowiańskich, na cały kościół katolicki i potwierdza wyznaczony ku temu przez Piusa IX. uroczysty dzień 5. lipca.

*** W Bukareszcie zakładające się Towarzystwo demokratyczne „Heliadista" ogłosiło właśnie swój program; pomiędzy innemi znajdują się takie punkta: 1) usunięcie wszystkich cudzoziemskich urzędników, pisarzy itp. z urzędów Rumunji; 2) zaprowadzenie obowiązkowej nauki wojskowej we wszystkich szkołach; 3) zniesienie wszelkich orderów dla cywilnych, a zatrzymanie ich dla armji; 4)

nietykalność urzędników i 5) regulacja ustawy rozwodowej.

*** Pracownia znakomitego komedjo-pisarza Emila Augier opatrzona jest następującym godnym naśladowania napisem:

„Ci, którzy przychodzą mnie odwiedzić, wyświadczają mi zaszczyt; ci, którzy nie przychodzą, robią mi przyjemność!“

Tak donosi dziennik paryski *Evénement*...

*** Do Wiednia przybył dla wstąpienia do akademji wojskowej trzydziestoletni naczelnik indyjski Inagat-Ali-khan; mówi on bardzo dobrze po angielsku, strój nosi europejski.

*** Suma kapitałów, włożonych po rok bieżący w przedsiębiorstwa kolejowe, według poważnego zestawienia statystycznego, wynosi około 80 miljardów mark, a w przedsiębiorstwa żeglugi parowej około 40 miljardów mark.

Parowe maszyny na całej ziemi, które w fabrykach zastępują ręce człowieka, przedstawiają według tegoż samego zestawienia siłę 13,330.000 koni, zaś maszyny takie, będące na usługach kolei żelaznej i żeglugi parowej, siłę 33,000.000 koni.

Ogółem przeto wyręcza się ludzkość w pracy 46 miljonami „koni parowych“, których siła odpowiada żywej sile 966 miljonów par rąk ludzkich!...

Zjawiska przyrody.

*** Porażenie od promieni słonecznych. W czerwcu r. b. pod Warszawą, za okopami na Czystem zdarzył się wypadek podobnego porażenia, który dotychczas nie był podany do wiadomości publicznej.

W południowej godzinie zajmowało się ośm kobiet w ogrodzie plewieniem cebuli na zagonach.

Nagle mignął przed ich oczami jak błyskawica silny słup światła słonecznego i w tej samej chwili uczuły wszystkie bolesne opalenie rąk, tak, że skóra na nich odrazu poczerniała...

Wskutek zaognienia potworzyły się na rękach rany, które jeden z lekarzy leczył przykładaniem lodu, ten środek pogorszył jeszcze cierpienie; udano się do innego lekarza, który odmiennemi środkami uskuteczniа kurację, dotychczas jednak niezupełnie jeszcze ukończoną.

Oparzenie to od słońca było tak silne, że spalona skóra z rąk zlazła, i jedna z kobiet zachowała ją sobie nawet na pamiątkę; innej znowu w ciągu leczenia wykrzywił się jeden palec.

Cebula na całej przestrzeni ogrodu została także całkowicie spaloną.

*** Trzęsienie ziemi w Manilli. Manilla, przez Hiszpanów dumnie „perłą wschodu“ nazwana, jest miastem głównem największej z wysp Filipińskich, położonem nad zatoką tegoż nazwiska i liczącem około 160.000 ludności.

Było ono siedliskiem władz hiszpańskich, było stolicą arcybiskupią, posiadało uniwersytet, liczne fabryki, piękne gmachy i pomniki.

Mówimy „było“ i „posiadało“ dziś już bowiem niczem nie jest i nic nie posiada..

Trzykrotne trzęsienie ziemi w dniach 12 do 20 lipca zniszczyło je doszczętnie!

Pierwsze trzęsienie w dniu 12 lipca trwało 70 sekund a rozpoczęło się około godziny 12. minut 45 z południa, podczas kiedy cała ludność znajdowała się około familijnych stołów

Szczęśliwym jakimś trafem pierwsze wstrząśnienia były powolne na tyle, że mieszkańcy wyższych piętr porzuciwszy wszystko, zdołali uciec na ulice i place publiczne.

W kilka sekund później wstrząśnienia ziemi doszły do takiej siły i gwałtowności, że żaden z gmachów publicznych i wyższych budynków ostać się nie zdołał.

Straszny to zaiste widok...

Wysokie mury zdawały się wić jak gdyby w konwulsjach i nagle zrzucały z siebie dachy, gzymsy, ganki, okna i waliły się, napełniając powietrze strasznym hukiem i nieprzyjemnym tumanem kurzu i gruzów.

Krzyk dzieci i kobiet uciekających i unoszących niemowlęta dopełniał piekielnej grozy...

Od 12 do 20go ziemia bezustannie drżała — doświadczenia jednak dawniejszych trzęsień usprawiedliwiały mniemanie, że co najgorsze już przeminęło...

Niestety inaczej się stało...

Dnia 20. o godzinie 3 minut 45 nowe trzęsienie ziemi, gwałtowniejsze od poprzedniego i z towarzyszeniem wstrząśnień w kierunku z góry na dół, dokończyło dzieła zniszczenia.

Tegoż dnia o 11. wieczorem, jedno gwałtowne wstrząśnienie, trwające około 50 sekund, uczuć się dało.

Ludność cała z początku ukryła się w piwnicach i suterenach, później przerażona uciekła na pola.

Nikt prawie nic z ruin uratować nie zdołał.

Straty, dotąd obliczyć się nie dające, rachować wypadnie na miljony dolarów.

Z ludzi na szczęście nikt nie zginął, co zawdzięczać należy godzinie, w jakiej wypadło pierwsze trzęsienie i powolności tych uderzeń.

Dziwnem jest, że bliskie miastu wulkany w tych strasznych dniach nie dały znaku życia.

Dalej zato, na brzegach oceanu Spokojnego również straszne zaszły wypadki.

Cała wieś zwana Enfanta pochłoniętą została przez otwór, jaki wynikł wskutek pierwszego trzęsienia.

Góry pootwierały się, inne się zapadły...

Roślinność została zupełnie spalona.

Przyczyną klęski, jak utrzymują, był wybuch jakiegoś podmorskiego wulkanu.

ROZMAITOŚCI.

Obława na konie w Japonji.

Ktokolwiek miał sposobność, pisze jeden z niemieckich podróżników, br. Siebold — zwiedzić stolicę japońską, Tokio, tego uwagę zwrócić musiały małe, krępe, złośliwe i krnąbrne koniki, używane przez Japończyków noko (dzieci pustyni) albo simako (synowie wysp).

Są to zwierzęta pół dzikie z długiemi ogonami i bujnemi grzywami, pokrywającemi cały kark: pochodzą one z okolic na północ od Tokio położonych i zamieszkują w całych stadach żyzne wyspy, jako też wysokie połoniny japońskich wzgórzy.

Co rok wychodzi rządowa komisja na łowy tych tabuńczyków w pewnych ograniczonych okręgach; złowione zwierzęta zostają znaczone cięciem w ucho i napiętnowane pieczęcią rządową, a potem wystawione na sprzedaż publiczną.

Za pobytu mego w Tokio postanowiłem skorzystać ze sposobności i osobiście przypatrzyć się temu oryginalnemu polowaniu na dzikie konie w dolinie Kogany, gdzie według zapewnienia krajowców łowy te miały być najbardziej interesujące.

Pewnego dnia zimowego wybraliśmy się w kilku na ową wyprawę końską, w której przyjęła udział także pewna *lady*, siostra jednego z członków konsulatu angielskiego.

Rząd udzielił nam po niedługich ceregelach pozwolenie do uczestniczenia w polowaniu, a nadto dodał zbrojny konwój dla naszego bezpieczeństwa i puściliśmy się tedy w dość licznej kalwakadzie ku Koganie.

Okolice Tokio w południowym i południowo zachodnim kierunku są wzgórzyste i przedstawiają się malowniczo, w północnym zaś rozciąga się płaska równina, poprzerzynana szerokiemi kanałami i pokryta po większej części łanami ryżu.

W grudniu, rozumie się — pola stały pustką, tylko niezliczone mnóstwo dzikich gęsi, kaczek i innego ptactwa zalegało płaszczyznę; tu i owdzie sztywny i poważny żuraw stał przy drodze i patrzał na nas zdziwionem okiem.

Przed kilkoma laty stada dzikiego ptactwa tak mało obawiały się jeszcze człowieka, że można je było niemal kamieniami ubijać; nie unikały też ludzi, podlatywały często pod ich mieszkania, zupełnie jakby były obłaskawione i należały do domowego drobiu; europejczycy swojemi flintami odstraszyli wszelako tych pierzastych gości.

Postępowaliśmy wzdłuż szerokiego kanału, po którym holowano w górę długie łodzie i barki.

Droga snuła się monotonnie poprzerywana kładkami i kamiennemi mostkami, nie wielki zaszczyt przynoszącemi japońskiej inżynierji i budownictwu krajowemu.

Często musieliśmy przeskakiwać rowy, co nie tak łatwo przychodziło naszej zbrojnej eskorcie, zwłaszcza z powodu niewygodnych siodeł, wystruganych z drzewa i niepokrytych niczem.

Strzemiona wysoko podniesione stanowiły rodzaj ciężkiego, żelaznego pantofla, w którym mieściła się noga, tylko w skarpetkę odziana; cugle były plecione z jedwabnych sznurków, ogon konia ujęty był w długą, bawełnianą siatkę kolorową, grzywa starannie uczesana, ozdobiona wstążkami, włosy nad czołem zaś podniesione w górę i ujęte na kształt pióropusza.

Jeźdźcy wydawali się malowniczo w swoich jedwabnych rajtuzach i kubrakach z kolorowemi wypustkami, z dużemi, zakrzywionemi szablami u boku, w złoconych hełmach na głowie i w długich po łokcie rękawicach.

Powierzchowność ich przedstawiała jakąś mieszaninę feudalnego rycerstwa z azjatycką dzikością i dla Europejczyka wydawała się wielce oryginalną.

Ludność wiejska, którą spotykaliśmy po drodze, witała nas okrzykami radości i z nietajoną ciekawością przypatrywała się przybyszom.

Szczególniejszy podziw wzbudzała wszelako nasza towarzyszka podróży; stare kobiety pokręcały głowami i nie mogły widocznie pojąć, jakim sposobem tę damę przywiązano do siodła, bo nie mogły przypuszczać, aby biała lady o własnej sile, w takiej pozycji na koniu utrzymać się potrafiła.

Śnieżna płeć angielki jeszcze większe zdumienie, aniżeli jej konna jazda budziła pomiędzy ludnością.

Pod wieczór zbliżyliśmy się wreszcie do uroczego lasku, wśród którego droga wspinać się zaczęła ku wzniesionej piaszczyźnie Kogany, gdzieśmy przenocować mieli.

Późną nocą stanęliśmy u celu naszej wyprawy.

Kogane przedstawiło nam się malowniczo, w półcieniu nocy nader wdzięcznie.

Dano nam gospodę w najpiękniejszem domostwie całej wioski; gospodyni z córkami z ujmującą grzecznością dygała u progu i witała bardzo uprzejmie.

Gospodarz wyszedł naprzeciw ze słowami:

— Macie cały dom nasz otworem, pójdźcie i wyszukajcie sobie w nim co najlepszego.

Według japońskiego zwyczaju rozzuliśmy nasze nogi i boso, aby nie niszczyć rozesłanych makat na podłodze, weszliśmy do wnętrza domu, dla obejrzenia mieszkania, które składało się z kwadratowych pokoi przegrodzonych papierowemi ścianami tak, że w razie potrzeby można je było rozsunąć i z dwóch komnat zrobić jedną salę.

Ponieważ w domach japońskich umeblowanie uważane jest za rzecz zbyteczną, przeto musieliśmy się zająć zaimprowizowaniem stołu i ławek na sposób europejski ze sprzętów, jakie się na podorędziu znalazły.

Podczas wieczerzy, domownicy i sąsiedzi naszego gospodarza otoczyli nas z ciekawością i przypatrywali się nam z takiemi samemi oznakami zdziwienia, z jakiemi my patrzymy na zwierzęta w menażerji.

Z całą naiwnością szczerych dzieci natury robili o nas swoje uwagi i spostrzeżenia, nie obwijając słów w bawełnę.

Duże, papierowe lampiony oświetlały nasze pokoje, a żarzące węgle w żelaznych garnkach ogrzewały mieszkanie, co zresztą dla naszych europejskich nosów nie było wielce przyjemną dogodnością.

Na drugi dzień rano obudziliśmy się wywczasowani i wypoczęci, dobry humor nasz podnieciły jeszcze tysiączne przygody przy ubieraniu i naiwne zapytania poczciwych Japończyków, którzy wszystkiemu okrutnie się dziwili, chychotali przy lada okazji i jak umieli gościnnością swoją nas ujmowali.

Najdziwniejszym dla nich artykułem naszych przyborów podróżnych, było mydło; jego biała piana wydawała im się czemś nadzwyczajnem, jej to przypisywali własność wybielania naszej skóry.

Japonki z iskrzącemi oczyma i z gorącemi słowami podzięki rozebrały między siebie cały nasz zapas mydła w nadziei, że tym europejskim talizmanem uda się im nadać pożądanej i wysoko cenionej białości swojej twarzy; kobiety japońskie bowiem, podobnie jak nasze damy, uważają białą płeć za jeden z najpierwszych i najważniejszych wdzięków swoich.

Arystokratki w Japonji odznaczają się też dość często europejską białością cery; klasy niższe wszelako mają skórę śniadą i... pomagają sobie, zupełnie jak cywilizowane kokietki Europy — szminką i bielidłem, co zresztą przy czernionych zębach i ogolonych brwiach tworzy efekt nie bardzo estetyczny.

Zwyczaj czernienia zębów u kobiet zamężnych istnieje w Japonji od wieków i nie wiadomo z czego powstał, ale wszystkie mężatki trzymają się jego tradycji i wypełniają sumiennie jej przepisy.

Stare panny, dla ukrycia swojego stanu, który i w Japonji nie jest dla kobiety bezpiecznym od naigrawania i przymówek, farbują sobie także zęby na czarno.

U naczelnika okręgu dowiedzieliśmy się, że łowy rozpoczną się dnia następnego w południe.

W oznaczonej godzinie byliśmy już gotowi; przebywszy okoliczny lasek, bardzo wdzięcznie okalający wioskę, dostaliśmy się na rozległą, bezbrzeżną prawie równinę, piaszczystą, tu i owdzie pokrytą nizkiemi burzanami i oazami wysokiej trawy.

Istna prerja amerykańska!... oko dosięgnąć nie mogło krawędzi tej płaszczyzny; daleko tylko na zachodzie zamglone góry obrębiały horyzont.

Przejażdżka na koniu po tym rozległym stepie była prawdziwą rozkoszą, tu można było śmiało puścić się na szybkonogim rumaku z wiatrami w przegony...

Ujechawszy kawał drogi, dostrzegliśmy w pobliżu gromadki dzikich tabuńców; najczęściej spotykać się nam dawało klacze, pasące się ze swemi łoszętami.

Na nasz widok zarżały i galopem umykały w głąb stepu; puszczaliśmy się za niemi w pogoń, ale nie tak łatwo było naszym rumakom dosięgnąć swoich braci, wychowanych na swobodzie i nie dźwigających żadnych ciężarów od urodzenia.

Obławy miały się rozpocząć na dobre; od kilku dni z całej prowincji zgromadzono wieśniaków i naganiaczy, którzy milowym kordonem otoczyli część równiny i krzycząc, bijąc w bębny, powiewając chorągiewkami, starali się ogłuszyć i wypłoszyć dzikie stada, ścieśniając przytem coraz bardziej ten żywy płot zatoczony dokoła.

Nad naganiaczami czuwali oficerowie japońscy w pstrych mundurach, rozdając chorągiewkami sygnały na wsze strony; do późnej nocy trwała naganka, potem rozłożyliśmy się obozem pod gołem niebem, na stepie, śpiewając wesoło i wznosząc okrzyki.

Nad ranem jeden z naszych ludzi przyniósł wiadomość, że konie w wielu miejscach zdołały przemknąć się przez kordon i że obława nie powiedzie się tak dobrze, jakby należało.

W pośród zatoczonego okręgu naganiaczy urządzoną była ogromna pułapka na dziki tabun; było to miejsce otoczone do koła wałem ziemnym i zasiekami, do którego szerokie prowadziło wejście.

U wejścia tego po obu stronach zamykały się niejako oba boki żywego kordonu ludzi, mających przeszkodzić napędzanym koniom ominięcie zasieków i przedostanie się na wolność.

Po niejakiej chwili obaczyliśmy z daleka nadciągający tuman kurzu, po za którym kłąb pędzących tabuńczyków zdążał wprost ku nam w szalonym galopie.

Krzyk, pisk, rejwach nie do opisania płoszył jeszcze bardziej to wystraszone stado, chorągiewki różnokolorowe furczały i powiewały w rękach naganiaczy, otumanione konie, nie widząc przed sobą wolniejszej drogi, jak tylko pomiędzy zasiekami, wpadły tam z całym impetem, nie przeczuwając nawet instynktownie, iż śpieszą same w niewolę.

Za końmi rzucili się ludzie, zamykając szlabanami i zastawiając odwrót złowionemu stadu.

Tym razem około 400 wolnych synów stepu wpadło w pułapkę.

Jak morze, rozbijające się o strome skaliste brzegi, tak cały ten żywy kłąb tabuńczyków rozbił się o wysokie ściany swej stepowej klatki.

Wściekłe, szalejące z rozpaczy i przestrachu zwierzęta rżały, targały się wzajem, kopały ziemię, szukając wyjścia i wyswobodzenia, ale nadaremnie.

Cisnąc się, wspinając, w podskokach sadząc na okopy, cały ten tłum w chaotycznem pomięszaniu tratował się wzajem.

Po niejakiej chwili, gdy już znużenie wyczerpało siły i ułagodziło nieco schwytane stado, otworzono ostrożnie wązką furtkę z zasieku i każdego konia wysuwającego się z zasadzki chwytano na pętlicę z podziwu godną zręcznością.

Najczęściej dwóch albo trzech poskromicieli takiego dzikiego stepowca opadało go natychmiast z przodu i z tyłu; jeden chwytał go za długi ogon i owijał sobie nim ramię, drugi przytrzymywał głowę, a trzeci przednie nogi.

W mgnieniu oka koń padał na ziemię powalony siłą tych trzech ludzi, a raczej ich właściwym fortelem, polegającym na tem, aby biedne zwierzę zmusić do oparcia się całym ciałem w jedną stronę, a potem pociągnąć je nagle w drugą.

Skoro raz udało się konia położyć na ziemię, poskramiacze przyduszali go kolanami, aby się zerwać nie mógł, zakładali mu kaganiec ze słomianych powróseł na pysk i pętali mu przednie i tylne nogi.

Jeżeli po zębach poznano, że koń ma więcej niż ośm lat, puszczano go znowu na wolność, młodych zaś piętnowano natychmiast gorącem żelazem i brano na linę; pomimo więzów taki złowiony tabuńczyk nie łatwo daje się poskromić i ugłaskać; potrzeba wiele siły, odwagi i zręczności, aby sobie z nim poradzić, a bez wypadku i skaleczenia rzadko kiedy się obejdzie.

Konie dzikie same między sobą biją się i gryzą, niekiedy nawet śmiertelne rany zadają sobie zębami i kopytami.

W niewoli przez długi czas nie dają się oswoić, skąpe pożywienie i ciężka praca zmuszają je wszelako do pozbycia się przyrodzonej dzikości.

Kaganiec wszelako noszą przez całe życie, bo od chwytania zębami i kąsania znienacka, nie mogą się nigdy odzwyczaić.

Tegoż samego dnia byliśmy jeszcze świadkami drugiej podobnej obławy, poczem wróciliśmy do Tokio pod silnem wrażeniem jednego z najbardziej oryginalnych i efektownych widowisk, jakie w ciągu naszej podróży po Japonji mieliśmy sposobność oglądać.

Odpowiedzi Redakcji.

Anonymowi w Genewie. Nie wchodząc w to, czy się zgadzamy lub nie z p. L. w kwestji, którą Pan podnosisz, a mając sobie tylko udzieloną bezimienną kartkę, którą Pan do niego pisałeś — musimy oświadczyć, że naszem zdaniem, polemika w tak grubjańskiej formie prowadzona, w żadnem piśmie, które się szanuje, miejsca znaleść nie powinna.

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim" zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego" we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 42. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.